N. 6. WARSZAWA d. 29 Stycznia (10 Lutego) 1872 ROKU.



TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O szaréj godzinie.

O szaréj godzinie
Piosenka popłynie,
Popłynie daleko, daleko,
A serce gdzieś wdowie
Westchnieniem odpowie,
Odpowie zwilżoną powieką.

Wśród ciemnéj przestrzeni
Na wichrze jesieni
Piosenka już dąży z pociechą,
I wznosi oczęta,
I składa rączęta,
I prosi i błaga o echo.

Lecz darmo zaklina,
Choć szara godzina
Uczucia podnieca i dwoi,
Wystygłe serduszko,
Jéj szepcze na uszko:
„Piosenko, my sobie nie swoi."

„Z tą szarą godziną
Łzy tylko już płyną
Oddźwiękiem nieswojskiéj ci nuty,
Tyś piosnko rodzinna,
Przeczysta, niewinna,
Mój akord namiętny, zatruty."

Tak piosnka witana,
Wichrami targana,
Zawisła w nicości, w przestrzeni,
A w duszy méj marnie,
Grobowo, ofiarnie...
Samotnie nuciłem śród cieni.

Lecz księżyc zbudzony
Cień rozwiał na strony
I szarą godzinę ozłaca,
Piosenka powoli,
Pod sercem mniéj boli,
Mniéj boli, umilkła, nie wraca.

Jerzy Laskarys.

REKLAMA

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

Wydoskonalenie reklamy zrobiło w ostatnich czasach ogromny postęp. Do niedawna jeszcze uważać było można reklamę, za całkiem niewinny środek zwrócenia uwagi publiczności na jakiś przedmiot, który w obec rozwiniętéj silnie na każdem polu konkurencji, przy skromnych swoich zaletach nie mógł może bez tych sztucznych środków zjednać sobie powodzenia. Dla pozorów przynajmniéj przyzwoitości, reklama niedaleko odbiegała od granic skromności, a kto nie był wtajemniczony w jéj genezę i tendencję mógłby na pierwszy rzut oka łudzić się przypuszczeniem, że autorowie reklamy mieli na celu jedynie wygodę i korzyść publiczności. Jednakże w gorliwem ubieganiu się o formę coraz to nowszą, ciekawszą i oryginalniejszą, reklama straciła wkrótce miarę i równowagę, pozbyła się resztek skromności, a doprowadzona do najwyższego stopnia przesady, zdemaskowała zupełnie jej cele i tendencje. W skutek tego straciła reklama rychło bardzo znaczną część swoich zwolenników, a tych którzy jeszcze nie zdołali się wyleczyć ze zbytniéj łatwowierności, stara się utrzymać i nadal w złudzeniu ciągłem stopniowaniem przesady krzykliwéj, posuwającéj się nieraz do zdumiewającéj śmiałości. Dziś więc reklama jeżeli chce zwrócić na siebie uwagę, nie może żadną miarą pogardzać śmiałem samochwalstwem i jaskrawą przesadą. Staje się więc coraz widoczniéj wyrafinowanym środkiem wyzyskiwania dobrodusznéj łatwowierności ludzi, którzy jeszcze nie mogli lub nie chcieli się przekonać o jéj istocie i wartości. U nas dzięki Bogu emancypacja reklamy nie postąpiła tak daleko jak w innych krajach, a mianowicie w Anglji i Ameryce. W Ameryce téj klasycznéj ziemi humbugu, reklama stała się już wprost nieuczciwym środkiem, który obliczony jest na oszukanie publiczności i często tem się tylko różni do oszustwa zwykłéj kategorji, że towarzyszy jéj trochę mniejsza doza złego zamiaru. W skutkach zaś swoich i celach nawet, reklama tak często zbiega się z pospolitem oszustwem, że nieraz ubolewać wypadnie nad niedostatkami kodeksu karnego, który nie daje punktu oparcia do ukarania tego rodzaju sprawek występnych.

Te nadużycia w reklamach sprawiły, że dzisiaj każdy skromny i w dobréj wierze podany anons, nie zwraca na siebie uwagi publiczności, a tem samem rozmija się z celem swoim. Wszyscy więc ulegają prądowi powszechnemu i w anonsach starają się zaciekawić publiczność, jeżeli nie kłamliwemi przyrzeczeniami i zmyślonemi faktami, to przynajmniéj jakimś konceptem który nieraz staje się piramidalnem błazeństwem. W fejletonie jednego z niemieckich dzienników podał Fryderyk Giehne kilka krótkich, ale wybornych rysów charakterystycznych dzisiejszéj reklamy i kilka ciekawych jéj próbek. Chcąc scharakteryzować angielską reklamę pisarz ten podaje następujący przykład: Burza zaskoczyła jakiś okręt angielski na morzu. Majtkowie ocaleli i dostali się szczęśliwie na odludne wybrzeże. Wiadomość ta obiega oczywiście szpalty wszystkich dzienników i na chwilę staje się przedmiotem, który zdołał zwrócić na siebie uwagę publiczności. Przebiegły właściciel składu czernidła na buty, umie wyzyskać ten fakt i osnuć na nim bardzo korzystną choć niedorzeczną reklamę. Kupiec ów podaje w dziennikach i plakatach cały fakt z bajeczną przesadą. W opisie swoim stara się stopniowo opanować wyobraźnię i ciekawość publiczności. Opisuje on, jak ci majtkowie

ocaleli i jakie przebyć musieli koleje. Dzicy mieszkańcy wybrzeża schwytawszy tych biedaków i związawszy im ręce i nogi, postanowili zabić a ich trupy złożyć w ofierze jakiemuś bożkowi, któremu dla efektu daje się w takim razie niesłychanie trudne do wymówienia nazwisko.

Zaprowadzono majtków przed świątynię bożka, rozpalono ogień, na którym za chwilę piec się mieli pomordowani Europejczycy, a kapłani ostrzą już noże na swoje ofiary. W tem następuje zwrot cudowny. Rotmana buty miały piękny połysk, więc na nodze ego odbijał się jak w zwierciadle posąg stojącego naprzeciw ofiary bożka. Widząc to kapłani rzucają noże i z wielkiem nabożeństwem oddają pokłony rotmanowi i majtkom, bo upatrują w tem zwyczajnem zjawisku cud świadczący wymowie o przychylności wszechwładnego bożka dla biednych Europejczyków. Wierząc w nieomylność téj wskazówki, zapraszają kapłani majtków do sutéj biesiady, a następnie wskazują drogę i środki, które pozwalają im wrócić szczęśliwie do ojczyzny. Aż dotąd łudzi się czytelnik i mniema, że ma przed sobą ciekawą historyjkę o przygodach na morzu. Ale wnet kończy się to złudzenie, bo reklama odsłania maskę w następujący sposób. „Pamiętać należy, pisze firma kupiecka podpisana na tem ogłoszeniu, że buty Rotmana trzy dni wystawione były na ciągłą słotę, a mimo to nie utraciły połysku, któremu rotman i jego towarzysze zawdzięczają ocalenie. Czernidło na tych butach pochodziło z fabryki p. NN. et comp. z której wyrobami żadna inna fabryka nie może współzawodniczyć. Proszę uważać czy etykieta nie jest podrobioną.

Oczywiście skutek reklamy jest pomyślny, bo chociaż nikt nie wierzy w takie brednie, ale każdego czytelnika rozciekawiły one swym zręcznym układem tak silnie, że długi czas nie zapomni o sławnéj firmie i jéj czernidle na buty, a jak wiadomo takie przypominanie firmy pamięci publiczności, jest właśnie istotnym celem każdéj reklamy. Zdawałoby się, że taka kolosalna niedorzeczność nie zdoła nikogo obałamucić i jest wcale niepożyteczna, a przecież powyższy rodzaj reklamy angielskiéj spokrewnionéj blizko z humbugiem amerykańskim, zdaje się wchodzić w modę, bo coraz częściéj spotkać się można z podobnemi próbkami. I tak niedawno znaleźliśmy w jednym z wiedeńskich dzienników inserat, który przyswoił sobie scharakteryzowaną powyżéj powieściową formę reklamy. Jakaś firma wiedeńska chcąc zachwalić przed publicznością swój fabrykat na sztuczny porost włosów, umieściła w inseratach wszystkich dzienników formalny dialog dosyć nawet obficie illustrowany. Osnowa i sens moralny tego dialogu jest następujący. Dwaj przyjaciele po dłuższem rozłączeniu spotykają się na ulicy, ale jeden z nich zmienił się zupełnie, bo nagle na łyséj i niemłodéj już głowie wyrosły mu bujne włosy. Oczywiście pan X. nie może poznać p. Y., który mimo to natarczywie przyznaje się do zażyłéj znajomości. Wreszcie poznają się obaj i pan Y. radzi swemu przyjacielowi, ażeby jak najprędzéj pobiegł do podpisanej firmy i kupił nieomylny środek na usunięcie łysiny, która już i jemu zarysowała się potężnie nad czołem, co też illustrator dobitnie wykazać nie zaniechał.

Z tych kilku próbek nowoczesnéj reklamy poznać można, że składają się na nią obecnie przesada najczęściéj niesmaczna, samochwalstwo zawsze wygórowane, niedorzeczność często do niesłychanych posunięta rozmiarów, a wreszcie i niemała doza niesumienności. Pracowity zbieracz mógłby z takich próbek ułożyć kilkutomową bardzo ciekawą kollekcję, na którą złożyłyby się ludzka głupota i wyrafinowaua zręczność w jéj wyzyskiwaniu.

Nie mamy zamiaru pisać wyczerpującą monografię o reklamie, więc nie myślimy podawać jéj historji, chociaż studjum takie mogłoby być bardzo ciekawem, a poniekąd nawet pouczającem.

Olbrzymi rozwój dziennikarstwa dokonany w ostatnich czasach w całym prawie świecie, jest nader ważnym momentem w dziejach rozwoju i wydoskonalenia reklamy. Dziennikarstwo stworzyło formalny system reklamy i podniosło ją do rzędu ważnych i niezbędnych czynników w niejednym zawodzie, a reklama odwdzięczając się dziennikarstwu za tę usługę, stała się dla niego potężną dźwignią. Wzajemność ta posłużyła obu sprzymierzeńcom, ale ostatecznie pokazuje się, że chociaż reklama doskonale i korzystnie wyzyskać potrafiła znaczenie, wpływ i rozpowszechnienie dzienników, nierównie lepiéj wyszło na téj wzajemności dziennikarstwo. Reklama zajęta w formę interesów, albo nawet odrębnych przygotowanych w duchu reklamy artykułów, stała się obecnie dla dzienników europejskich prawie najwyższą podporą i głównym warunkiem materjalnego powodzenia. Dowodzi tego dziennikarstwo wiedeńskie, które jak pod wielu innemi względami tak i w téj mierze przewyższyło dziennikarstwo francuzkie, i bardzo szczęśliwie współzawodniczyć może z angielskiem i amerykańskiem. Ale o ile dzienniki wiedeńskie potrafiły wyzyskać reklamę i doprowadzić ją do wysokiéj doskonałości, o tyle straciły poważny charakter wiernych organów opinji publicznéj i utorowały drogę najbezwstydniejszemu zepsuciu. Dzienniki wiedeńskie po większéj części stały się organami zakładów kredytowych finansowych, którym wysługiwać się muszą na każdym kroku. Przy niesumiennem kierownictwie redaktorów — spekulantów, dzienniki te stały się niebezpieczną bronią, która w jednéj chwili może zachwiać zaufanie w jakiś zakład lub przedsiębierstwo, a tem samem podkopać jego byt, albo też za pomocą zręcznéj reklamy podnieść jego znaczenie i pomódz mu w pokonaniu współzawodników. Wydawcy takich dzienników wiedząc jak niebezpieczną mają broń w ręku, zrobili z niéj źródło bajecznych a niesumiennych zysków. Każde świeżo zawiązane towarzystwo akcyjne, każdy bank, każda nowa kolej musi zaraz na wstępie przeznaczyć znaczną sumę dla dziennikarstwa i corocznie wpisie wydatków wprowadzić stałą rubrykę na ten cel, jeżeli nie chce narazić się na niełaskę dzienników, które mimo znanéj sprzedajności, potrafią jeszcze zawsze opanować na chwilę opinię publiczną, i w pierwszéj a zatem i najkrytyczniejszéj chwili, zachwiać zaufanie w rzetelność i trwałość nowéj instytucji.

Cały ten proceder jednania sobie reklamy w dziennikach wiedeńskich, odbywa się bardzo często z bezwstydną, cyniczną jawnością. Nierzadko zdarza się, że zazdrośny rywal dziennika sowicie subwencjonowanego (jestto utarta łagodna nazwa przedajności przyjęta w całem dziennikarstwie) odkryje zasłonę, okrywającą cały szereg najbrudniejszych zakulisowych sprawek, a w takim razie wywiązuje się skandaliczna polemika, rzucająca jaskrawe światło na moralną wartość tych piśmideł. Przed dwoma laty toczył się przed kratkami sądowemi skandaliczny proces, redaktora jednego z dzienników wiedeńskich a w rozprawie téj wyszły na jaw takie brndne sprawy tak ochydne, a przytem zręczne sposoby spinięźenia wpływu dziennikarskiego, że człowiek naiwny czytając te rozprawy sądowe, niedowierzałby oczom swoim. Proces ten przyczynił się niemało do ustalenia zdania, że dzienniki wiedeńskie pod względem korupcji wyrafinowanéj, doszły już do potwornéj doskonałości i może nawet obecnie prześcignęły w téj mierze wszystkich swoich zagranicznych rywalów.

W Wiedniu płaci się nietylko za reklamę, ale nawet i za samo milczenie. Korzysta z tego znakomicie cały nadzwyczaj liczny zastęp pismaków wiedeńskich, którzy łowią wielkie ryby w téj mętnéj wodzie. Każdy taki pismak posiadający cokolwiek sprytu dziennikarskiego, prowadzi jakiś czas dość szczęśliwie rzemiosło rozboju publicystycznego. Napisze bowiem jakąś broszurkę oszczerczą, pełną gróźb tajemniczych i kłamstw wierutnych, i odbicie swego piśmidła posyła osobie albo zakładow zaatakowanemu. Oczywiście dla świętego spokoju, dla odjęcia gawiedzi wszelkiego pochopu do podejrzeń, które mimo braku uzasadnienia nieraz fatalny wpływ wywrzeć mogą, każdy gotów jest rzucić napastnikowi haracz. Ale często zdarza się, że taki napastnik publicystyczny przebierze miarkę, posunie się zadaleko w owem rzemiośle, a wtedy sprawa wytacza się przed kratki sądowe i dopiero wyrok sądu piętnując nieuczciwego pismaka, odsłania to straszne spodlenie, tak zaszczytnego zawodu publicysty. Fakta takie zdarzały się nieraz, co wykazać można drukowanemi sprawozdaniami z izby sądowéj.

Dzienniki wiedeńskie nie kryją się z tem zresztą że prenumerata nie jest ich głównem źródłem dochodu. Przed dwoma laty największy a pod względem literackim i najznakomitszy dziennik polityczny *Neuefreie Presse* obliczyła cyframi, że wzrost prenumeratorów naraża ją na straty. Sam bowiem papier i druk kilkuset numerów rocznie każdemu abonentowi dostarczonych, reprezentuje bez honorarjów i kosztów administracji większą kwotę, niż prenumerata cało-roczna. W takim razie oczywiście o tyle strata jest większą, o ile powiększa się liczba nowych prenumeratorów. A przecież mimo to dziennik ten ma kolosalne dochody, a jego redaktorowie posiadają książęce pałace w najpiękniejszych dzielnicach Wiednia i należą do ludzi najzamożniejszych. Zkądże biorą się te dochody? Niezawodnie inseraty, ta tuzinkowa reklama zapełniająca kilka wielkich kolumn codziennie, jest źródłem bogatem ale nie wyłącznem. Redakcja wzbogaca się niesłychanie reklamą wyższéj kategorji, to jest protegowaniem w ściśle umiejętnych i pozornie bezstronnych artykułach, banków, zakładów finansowych, kolei itp.

I w naszem t. j. lwowskiem dziennikarstwie reklama odgrywa rolę niepospolitą. Jak w całym świecie tak i u nas każde wydawnictwo dziennika politycznego, zaliczać musi reklamę w jéj najpospolitszéj formie t. j. inseraty, do najgłówniejszych warunków swéj egzystencji. Ustaliło się już nawet zdanie, że bez inseratów dziennik żaden istnieć nie może. Jestto niezawodnie źródło dochodu wcale uczciwe, jeżeli tylko sumienne wydawnictwo umie zamknąć przystęp wszelkim nadużyciom. A niestety w dziennikarstwie uświęcono zasadę, że wydawnictwo odpowiada w obec opinii publicznéj tylko za część publicystyczną, cały zaś dział inseratów uważany bywa za pole zupełnie neutralne, nie jako za targownicę, na któréj każdy rozgościć się może, każdy kto złożył z góry unormowaną taksę. Skrupnlatniejsze pojmowanie zadania i odpowiedzialności redakcji całego dziennika w obec publiczności, nie może pogodzić się z podobną zasadą. Inseraty bowiem są niezawodnie niewinnym środkiem komunikowania się różnych przedsiębierców z publicznością, ale czasem a dziś nawet bardzo często, stają się uprzywilejowanym środkiem obałamucenia łatwowiernych i niezaszczytnego wyzyskiwania ich naiwności. Czyż nie powinienby np. każdy sumienniejszy dziennik, wyłączyć ze swoich inseratowych ogłoszeń berlińskiego profesora von Orlice, który jest tylko natrętnym i bezwstydnym wykpigroszem. Ten jegomość wynajął sobie w inseratach bajecznéj liczby pism kącik, z którego oznajmia wszem obec i każdemu z osobna, że za mizerną kwotę kilku guldenów, zrobi każdego panem zamożnym, dając mu nieomylną instrukcję do szczęśliwego wyzyskania gry loteryjnéj. Oczywiście masa jest ludzi tak naiwnych i łatwowiernych, którzy niezastana-

wiają się nad tem, dlaczego pan von Orlice zamiast tak powolnego spieniężenia swéj nieocenionéj tajemnicy, nie skorzysta z niéj sam i nie obegra zupełnie wszystkich loterji w całym świecie. Ci więc skwapliwie udają się do Berlina po radę i podsycają swoją namiętność do gry loteryjnéj. Komu niedopisała instrukcja berlińska ten milczy, i nie ośmieli się zdemaskować swego mistrza, bo każdy gracz taki nie lubi wyjawić swéj namiętności. Jeżeli zaś kto trafem ślepym wygra podług téj instrukcji, pisze zaraz podziękowanie swojemu dobrodziejowi, który listy te drukuje obok anonsów i tem jedna sobie coraz liczniejszy zastęp zaślepionych zwolenników.

Owa wyższa reklama, którą scharakteryzowaliśmy przed chwilą, nie rozwinęła się jeszcze u nas dzięki Bogu tak okropnie, jak w dziennikarstwie wiedeńskiem, chociaż objawy jéj zaraźliwego wpływu i u nas stają się z każdym dniem potężniejsze. Dziennikarstwo lwowskie bowiem dąży widocznie do naśladowania pism wiedeńskich pod względem formy i układu, a w naśladownictwie tem postępuje tak niefortunnie, że znakomite zalety tych dzienników przyswaja sobie niesłychanie powoli, a natomiast skwapliwie kopiuje niektóre strony ujemne. I tak n. p. dzienniki lwowskie przyswoiły sobie prawie sposób prowadzenia polemiki właściwy dziennikarstwu wiedeńskiemu, które nie zna poważnéj walki publicystycznéj o zasady i przekonania, a posługuje się szkalowaniem prawdziwie ulicznem i niegodnemi przytyczkami osobistemi. Polemika skandaliczna prowadzona w tym kierunku objawiła się coraz gwałtowniéj, a przed dwoma laty osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy redaktorowie dwóch największych dzienników lwowskich wyrzucać sobie zaczęli nawzajem sprzedajność, a następnie sprawę całą wywołali przed trybunał sądowy. Proces ten trwał całe dwa tygodnie, ściągał do sali sądowéj liczną publiczność, odsłonił mnóstwo nieznanych i niebardzo zaszczytnych tajemnic i skończył się w końcu skondemnowaniem strony, która odstąpiła publicznie z zarzutem sprzedajności. Rezultatem tego dla Lwowa pamiętnego i bardzo skandalicznego procesu, jest ogromny stos aktów przechowany w registraturze sądowéj i mocno zachwiana reputacja dziennikarstwa naszego. Jakkolwiek bowiem odsłonięte przytym procesie tajemnice zakulisowe redakcji, w porównaniu z szalbierskiemi sprawkami dziennikarstwa wiedeńskiego, są tylko niewinnemi wcale wybrykami, to przecież publiczność odniosła wrażenie przykre, bo przekonała się, że i u nas dzienniki już chcą korzystać ze swojego wpływu w sposób niewłaściwy, i wchodzą w niebezpieczne bardzo stosunki z przedsiębiorstwami polującemi za sztuczną reklamą dziennikarską. Jestto droga bardzo pochyła i przedzielona tylko jednym krokiem od zupełnéj korupcji i połączonego z nią upadku moralnéj powagi dziennikarstwa, które przy sumiennem kierownictwie stać się może i powinno potęgą moralną. Chociaż podobne smutne objawy od chwili zamknięcia owego słynnego procesu, nie zmniejszały się wcale, to przecież nie obawiamy się, by dziennikarstwo nasze nie upadło tak okropnie jak wiedeńskie, bo nieosłabione w opinii publicznéj poczucie moralności, piętnuje natychmiast należycie wszelkie podobne wybryki. W obec téj potężnéj zapory dziennikarstwo nasze nie może zrzec się swego dotychczasowego stanowiska i sumienności, jeżeli nie chce utracić zarazem wszelki wpływ i rację bytu.

Korupcja tolerowana tak obojętnie i jawnie za granicą, może więc u nas porwać za sobą tylko chwiejne jednostki, ale nie zdoła się rozpowszechnić, bo nie potrafi zachwiać silnych jeszcze bardzo podstaw moralnych.

(d. n.)

Korespondencja z Wiednia.

(Dalszy ciąg).

Wtem, nadjeżdża elegancki ekwipaż. Siedząca w nim młoda osoba, artystka dramatyczna Merope, dowiedziawszy się co zaszło, bierze Magdalenę do powozu, przywozi do domu, staje się jéj dobrodziejką i przyjaciołką, utrzymuje ją, ubiera, wozi do teatru, i wprowadza w swoje towarzystwo. Magdalena wśród zbytku i pochlebstw wystawiona na tysiąc prób, daje się uwieść natrętwu bogatego anglika lorda Artura Durleya, zmuszona do tego oświadczeniem, że nie może być dłużéj ciążarem Meropy. Magdalena przenosi się do pałacu Durleya, i od kwiatu, który będąc ubogą, lubiła pielęgnować, przybiera imię Pervenche.

Od czasu oddalenia Morela z zamku St. Gervais minęło lat 14. Pan jego już nie żyje, została tylko wdowa, margrabina z dwojgiem dzieci, synem Henrykiem i córką Ireną. Margrabina jest kobietą cnotliwą, głęboko religijną, a Henryk i Irena wychowani w najpiękniejszych zasadach, nie mają ani pojęcia o stosunkach towarzyskich w Paryżu. Irena jest naczoną. Vicomte Seclere jednak, którego ma uszczęśliwić swoją ręką, należy do tak zwanéj młodzieży złotéj i mieszkając w Paryżu, bardzo lekkomyślne prowadzi tam życie.

Z powodu ponownéj zmiany zarządu majątku St. Gervais musiano zrewidować książki rachunkowe z lat poprzednich i przy téj sposobności wykryto, że mniemane sprzeniewierzenie Morela było tylko prostą omyłką rachunkową. Odkrycie to żywo dotknęło margrabinę, kazała szukać Morela, ażeby jak najprędzéj wynagrodzić go za nieszczęście w które tak niezasłużenie popadł. Wszelkie poszukiwanie było długo bezskuteczne z powodu, iż Morel zmienił był nazwisko, w końcu przecież dowiedziano się że umarł. Ale gdzież córka? Szukano teraz córki, ale téj ani śladu nie znaleziono. Henryk podzielający uczucia matki postanowił więc udać się osobiście do Paryża, i przybył on tam właśnie wtedy, gdy Vicomte de Clers, powziął stanowcze postanowienie porzucić stan kawalerski, i zaślubić Irenę.

Tutaj sztuka się zaczyna. Vicomte daje obiad pożegnalny dla swoich kawalerskich przyjacioł, kawalera Favre, lorda Artura Durleya, Meropy, tancerki Phoebe i Pervenchy. Już wszystko gotowe, gdy wtem dają znać Vicomtowi o przybyciu Henryka St. Gervais. Była to dla gospodarza bardzo niemiła niespodzianka. Vicomte wie że jeżeli Henryk pozna się na jego towarzystwie w jakim się znajduje, ożenienie się jego z Ireną, może stać się bardzo wątpliwem. Nie wie co począć, chce odłożyć obiad, waha się, wtem damy wchodzą wesołe. W téj krytycznéj chwili kawalerowi de Favre przychodzi na myśl doskonały wybieg, rodzaj komedji w któréj Meropa miała być jego żoną, Pheba krewną, a Pervenche skromną dziewczyną imieniem Blanche, która dopiero co wyszła z klasztoru. Wszystkie trzy przystają na to i przyrzekają grać dobrze swoje role.

Wchodzi więc Henryk w towarzystwie starego sługi, następują wzajemne przedstawienia, poczem idą wszyscy do stołu. Pervenche zaraz w pierwszéj chwili sprawiła silne wrażenie na Henryku. Nie wiele brakuje aby jéj wyznał swoją miłość, ale Merope i Phoebe oświadczają że komedja już im się sprzykrzyła i okazują się tem, czem są w istocie. I Parvenche zatem jest także zdemaskowana, a Henryk wpada prawie w rozpacz.

Drugi akt przedstawia wspaniałe pomięszkanie Pervenchy u Durleya. Służąca Manon zwija się w jéj usługach a z tego co mówi widać, że już wielu takim damom usługiwała. Pervenche kocha Henryka, tem więcéj toż uczuwa swoją ohydę, zwłaszcza od czasu odwiedzin pani Pierre. Jestto stróżowa domu, dawna jéj znajoma z czasów ubóstwa. Dowiedziawszy się że Magdalena Morel tutaj mieszka, i sądząc że tylko służbę dostała, przyszła do niéj ze swoją wnuczką Fanchettą. Magdalena obdarza dziecko cukierkami a pani Pierre daje worek z pieniędzmi. Ale wtem wchodzi Manon i tytułuje Magdalenę Madame. Pani Pierre usłyszawszy to, domyśla się wszystkiego, kładzie pieniądze i odchodzi prędko, mówiąc: My jesteśmy uczciwi ludzie.

(d. c. n).

Pogadanka.

Po ckliwych, nudnych a często..., bardzo niesmacznych dramatach, dramacikach i różnego kroju komedyjkach, zjawiła się wreszcie na scenie naszego teatru praca większego rozmiaru p. Zygmunta Sarneckiego p. t. Bezinteresowni. Godna ona więcéj obszernego sprawozdania jak pobieżnéj wzmianki, ale że nie chcąc nudzić czytelników a siebie męczyć urzędowem bywaniem w teatrze, sprawozdania teatralne zawiesiliśmy, musimy więc Bezinteresownych pomieścić w ramach zwyczajnéj naszéj pogadanki. Gdybyśmy komedją tę chcieli sądzić z bezwzględnego stanowiska sztuki dramatycznéj i porównywali ją z uznanemi podobnego rodzaju arcydziełami, znalazłoby się wiele zarzutów przeciw jéj budowie. Ale byłoby to niesprawiedliwością, jakiéj krytyka mówiąc nawiasem często się dopuszcza.

Literatura dramatyczna nie doznając u nas żadnego poparcia, a nawet przeciwnie hamowana różnemi przeszkodami, posuwa się naturalnie żółwim tylko krokiem, garnąc pod swój sztandar jedynie takich pisarzy, co albo nie mogąc się oprzeć wewnętrznemu pociągowi piszą choćby tylko dla siebie, albo posiadają różne środki i środeczki do usunięcia tam, dla innych do przebycia niepodobnych. To też cały zastęp pisarzy dramatycznych ogranicza się u nas właściwie na czterech nazwiskach. Fredro ojciec, Korzeniowski, Chęciński i syn hr. Fredry. Fredro ojciec wydobył się siłą swego talentu, Korzeniowski wysokiem stanowiskiem jako powieściarz i urzędnik, Chęciński jako artysta i reżyser, a syn Fredro nazwiskiem rozgłośnem swojego ojca. Do szczupłego tego gronka przybywa teraz czwarty w osobie pana Sarneckiego, któremu zupełnie nie zazdrościmy starań i zabiegów, jakich zapewne musiał użyć do wprowadzenia pracy swéj na tutejszą scenę.

Mieścimy go zaś dla tego odrazu w uznanem już gronku pisarzy dramatycznych, że Bezinteresowni to już nie farsa ale komedja w całym przynajmniéj swym pomyśle, i stanowi od prac poprzednich pana Sarneckiego tak wielki postęp, że nawet z niemi porównaną być nie może. Jeżeli tak daléj pójdzie, można młodemu temu pisarzowi wróżyć bardzo świetną przyszłość, jakiéj się spodziewamy i szczerze życzymy.

Bezinteresowni to szczypiąca satyra wady społecznéj, tak często własne cele umiejącéj pokrywać maską bezinteresowności. Oprócz miljonowéj panny doletniéj i zacnego jéj kuzyna z całą szczerością i wiarą folgującym popędom swojego serca, wszystkie

inne postacie są ujemne, może nawet zbyt wstrętnie przedstawione. Pojmujemy cynizm bez żadnéj osłony, występujący w ludziach już niemłodych, przeżytych, którzy wyssawszy wszystko ze świata co życie uprzyjemnia, w pozostałych łupinach nie mogą już znaleść nic drażniącego stępioną ich czułość; ale w młodéj dzieweczce tak niby naiwnéj i figlarnéj jak córka Koczkodańskiéj, to już zakrawa na przesadę i nienaturalność. Być może że podobne jednostki znajdują się gdzieś za górami i morzami, u nas jednak nie ma takich jeżeliby zaś i znalazły się, to samolubstwo swe z pewnością zamknęłyby w ciszy serca, a usta skrępowałyby nawet w obec matki pieczęcią milczenia.

Postać ta widocznie w obczyznie wypatrzona, ale nie jéj jednéj zarzut ten zrobić można. Cały zakrój komedji, sposób jéj przeprowadzenia, duch ją owiewający, wszystko to jakieś nie nasze nie miejscowe. Autor widać lepiéj zna i społeczność i literaturę francuzką jak naszą, mimowoli więc uległ téj przewadze obczyzny. Otrząsnąć się z tego nietrudno, trzeba tylko stanowczy zrobić rozbrat ze wszystkiem, co z krwi i ducha do nas nienależy. Salon to świat więcéj konwencjonalny, bogactwo jego, wygody, przyjemności urabiają na całym pono świecie, wady, przymioty, upodobania, pragnienia, ludzi w jego ścianach wychowanych, według jednéj formy, z małym niezmiernie prawie niewidocznym odcieniem cech miejscowości do któréj należą.

Autor zamknięty w poglądach swych w tak ciasnem kółku, pomimo największego talentu nie stanie nigdy na właściwéj mu wysokości. Utwory jego obrazując społeczność będą mogły pochlubić się zręcznością, zajęciem nawet dowcipem, ale zawsze braknie im szerszego na świat poglądu, życia prawdy których nic zastąpić niezdoła. Specjalista naukowy musi znać wszechstronnie obrany przez siebie przedmiot, aby zasłużył na imię uczonego i mógł pożytecznie pracować dla dalszego postępu nauki. Z wiedzy téj wiele szczegółów może żadnego bezpośrednio nie przynosić pożytku, ale w summie swéj na wyrabianie zdań, sądów i spostrzeżeń, z pewnością wpłyną zbawiennie. Dla obrazującego społeczność w jakikolwiek bądź sposób, czy w powieści lub dramacie, specjalnością jest ona sama, należy ją więc znać koniecznie od chudego pachołka aż do pana, od łachmanów oberwańca aż do mitry zdobiącéj książęcą koronę i nie tylko dziś żyjącą ale i dawniejszą z jaką tak wybornie zapoznaje cała ubiegła literatura. Pisarz tak wcielony w społeczności któréj służy, może późniéj do swych utworów wprowadzać postacie stanowiskiem do siebie zbliżone, odtrącając inne do niższych warstw należące, mimo tego każdy w nich pozna jednostki własnéj społeczności, bo powstałe i ze znajomości ich dokładnéj i z porównania z innemi bliżéj lub daléj położonemi.

Fredro syn dał nam dotąd same tylko farsy i zdaje się że nawet nieposiada warunków do napisania sztuki zasługującéj na miano prawdziwéj komedji a jednak niektóre jego postacie są tak pełne życia, tak czysto nasze, tyle w nich naturalnego, niewymuszonego komizmu, że mimo błachości osnowy zajmują i pociągają.

Gra artystów w Bezinteresownych była wyborną, pani Modrzejewska ujmowała, pani Niewiarowska i panna Popiel łagodziły umiejętnie wstrętność ról przez siebie przedstawionych, pan Chomiński nowy złożył dowód wytrawności scenicznéj, a panowie Ostrowski i Szymanowski co zdoła staranna praca prawdziwym poparta talentem.

Maskarady zdaje się że z piątą zakończyły żywot swój karnawałowy. Wspomnienia po nich już tylko dalekim echem brzmią w ogłoszeniach kurjerowskich, dopominających się rozwiązania zawiązanéj intrygi. Jedno z nich wielce wymowne zwraca na siebie większą uwagę. Jakiś pan S. M......k składa dzięki pewnéj pięknéj maseczce za sztukę zainteresowania go przez *dwadzieścia i pół godziny* jak sam powiada *znudzonego już światem i ludźmi.* Stan to wielce nieszczęśliwy godny jeżeli nie współczucia to litości. Nuda zwykle napada ludzi co im się dobrze dzieje na świecie, co posiadają wszystkie warunki aby się nie nudzili. Ludzie w pracy mozolnéj w krzątaniu, w zabiegu nie znają zupełnie nudów, bo na nie nie mają czasu, żeby więc nie nudzić się trzeba pracować, innego na to nie ma lekarstwa. Pan S. M. widać za wiele ma czasu, niechże ten zbytek za który wielu tysiącami by zapłaciło stara się poświęcić jakiemu pożytecznemu zajęciu, a głowę własną oddam mu w zastaw, że nudy znikną i świat i ludzie w nowe obleką się szaty. Dziś kiedy można coś robić, kiedy potworzyło się tyle nowych stowarzyszeń i instytucji, mogący brać w nich udział a usuwający się od niego, dobrowolnie popełnia grzech niczem nieusprawiedliwiony. Wypalić parę cygar dziennie, przeczytać gazetę, wygładzić faworyty, wymustrować wąsy, pogawędzić to z tym to z owym, podsłuchać nowinek i ploteczek, przepędzić kilka godzin czasu na górce u Loursa, na jakiem widowisku, w gościnie lub u siebie na ziewaniu i krzywieniu, a choćby przy genialnym beziku, preferansie lub wiście, to wszystko sposoby na mnożenie a nie na usuwanie przeklętych nudów, będących dla wielu plagą do rozpaczy wiodącą. Na nieszczęście z podobnemi jednostkami nietrudno się spotkać, czemu jedynie zapobiega skutecznie wprawianie dziatwy od najmłodszego wieku do myślenia i zastanawiania, się stanowiących obecnie nową metodę wychowania.

W krótce zamieścimy obszerniejszą w przedmiocie tym rozprawę, dziś zwracamy tylko uwagę na zakład naukowy pana Stanisława Gargulskiego o dwóch oddziałach niższych, przyspasabiający uczniów do szkół gimnazjalnych w którym na rozwijanie myśli szczególniéj jest zwróconą uwaga. Zacnego szkoły téj przewodnika znamy już oddawna, owoce pracy jego nie są nam obce nikt więc zapewne nie weźmie za złe, pobieżną wzmiankę o pracowniku, godnym zachęty i uznania.

Obok rozwijania myśli p. Gargulski nie zaniedbywa pamięci. Dzieci wiejskie, powiada on, będąc otoczone jednostajnym widokiem przyrody, rozróżniają od lat najmłodszych z największą łatwością liście dębu od lipy, trawy od wschodzącego żyta, jęczmienia lub owsa i tym sposobem przywykając do analizy, nabierają wielkiéj pamięci w szczegółach ale nie są zdolne objąć ogółu i nie umieją opowiadać. Dzieci miejskie przeciwnie, żyjąc w otoczeniu ciągle się zmieniającem opowiadają z łatwością, ale trudniéj się uczą i pamiętają. Ztąd wypływa że dzieci wiejskie dalszą nauką rozwijając umysł stają się lepszemi uczniami od dzieci miejskich i że pamięć jest dźwignią przyszłych postępów ucznia.

Wzmacnianie też pamięci i obudzanie myśli do działania, pod szczególną u p. Gargulskiego zostają opieką, żeby zaś starania i postępy ucznia w każdéj chwili mogły być znane jego opiekunom, każdy z nich posiada dzienniczek, w którym codziennie zapisywane są stopnie z przedmiotów na lekcji wykładanych.

Elementarne wychowanie żadnéj u nas na siebie nie zwraca uwagi, choć bezporównania ważniejszym jest od wykładu naukowyższych w uniwersytetach. W akademjach uczy się już człowiek myślący, więc i wykład choć mniéj umiejętny może utrudnić naukę, ale nie przyniesie szkody niepodobnéj do powetowania. W szkółkach uczy się dziecię, które pod opieką nauczyciela, ma się uzdolnić niby rola do przyjęcia późniejszego zasiewu nauki i moralności. Jakiéj że tu więc potrzeba umiejętności, pracy i wytrwałości, jakiego talentu i zamiłowania, aby odpowiednio myśl jego rozwijać, pamięć krzepić i zaszczepiać w sercu zarody miłości do wszystkiego, co dobrem nazywamy. Tacy nauczyciele łączący w sobie wszystkie te przymioty, to prawdziwi dobrodzieje każdéj społeczności, to apostołowie prawdziwego postępu ludzkości, która środki ku temu nie czerpie z aul uniwersyteckich, ale ze szkółek elementarnych. Jednym z takim jest pan St. Gargulski. Te jednak słów kilka nie jemu ofiarowane ale Warszawie dbałéj bardzo o naukę swych dziatek. Niechże mi więc przebaczy że ani proszony ani pytany, na zakład jego naukowy szczególną zwróciłem uwagę.

Opis ryciny kolorowéj.

N. 1. Suknia strojna. Suknia z materji faille jasno lila ze stanikiem pod szyję i krótkiemi rękawkami nagarnirowana suto falbankami, dopełniona jest elegancką tuniką, bluzką pod szyję i szeroko otwartemi rękawami z białego muślinu. Kokardy są białe muślinowe podłożone lila materją marszczona falbanka muślinowa oszyta koroneczką i riusza jedwabna lila stanowią przybranie tuniki i rękawów w sposób na rycinie wskazany. Lila wstążka rypsowa przeplata włosy.

N. 2. Strojne ubranie. Suknia z trenem popielata jedwabna z tuniką i bertą gazową w takimże kolorze. Garnirunek stanowi koronka irlandzka podłożona kolorową wstążką lub czarnym aksamitem i riusza z jedwabnéj wstążki wysiepanéj, która otacza brzeg rękawków i wykrój stanika. Róże we włosach i przy bercie.

KORESPONDENCJA.

Panu Sta. Jaka jest ostatnia stacja pocztowa, z któréj się pisma odbierają?

Pani Malwinie Ra. Tygodnik Mód z przeszłego półrocza 1871 jest jeszcze do nabycia.

Panu Józefowi K. Żakrocisku podług próbki niema. Atłas kosztować będzie rs. 16.

Pani Annie Cho. Firanka ozdobna kosztuje rs. 10.

Panu A. W. w Char..... Dom Zleceń przy uliey Senatorskiéj wprost kościoła Św. Antoniego pod N. 468/9 prowadzony przez p. Walerego Trzcińskiego rzeczywiście wino francuzkie ma sprowadzone z Bordeaux i takowe sprzedaje po cenach następujących w miejscu:

Petit Médoc	butelka	rs. —	kop.	85.
Bon Médoc	„	—	„	87½
St. Estêphe	„	1	„	17
St. Julien	„	4	„	20
Château Margaux		2		
Château Lafite	„	2		

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina kolorowana.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Trochę urażona wyszła zaraz Elwira, aż się jéj matce żal zrobiło. Pomiarkowała że lepiéj jest nic nie taić i odwołała ją nazad.

— Przeczytaj mi ten list, rzekła napozór obojętnie.

Drżącą ręką rozerwała Elwira kopertę, pobiegła po liście oczyma i zbladła, oczy matki żadnego jéj nie straciły ruchu i serce się ścisnęło. Pani Jaworkowska pisała jak następuje:

Kochana Zuziu! Żądałaś ode mnie wiadomości, więc pomimo mojego bicia humorów do głowy, siadam ci donieść że żyję i czekam wypogodzenia, aby do domu wyruszyć. Tego dnia gdyście wyjechały, pan Pilawski strzelał się w Muszynie, ale w szopie z panem Stanisławem. Miałam smutne przeczucie, które się ziściło. Greifer wprawdzie pierwszy strzeliwszy ranił go, ale ten nieznośny Pilawski oddał mu takim samym strzałem, iż doktorowie wydziwić się nie mogą, jak doskonale trafił w to samo miejsce i w tą samą kość w którą już był ranny. Oba teraz leżą, podobno Pilawski niebezpieczniejszy, obie kości obrażone. Greifer prędzéj przyjdzie do siebie, o Pilawskiego się lękają.

Tu głosu zabrakło Elwirze i dwa łez strumienie się puściły.

O Pilawskiego się lękają, dodała cicho, aby mu ręki odjąć nie było potrzeba. Ten wypadek odsłonił jedną tajemnicę, któréj myśmy się i dawniéj trochę domyślały. Hrabina Palczewska która zdawała się tak mocno zajętą swoim Anglikiem, formalnie się dla Pilawskiego skompromitowała. Anglik siedzi to prawdą, ale hrabina całe dnie i wieczory razem z nim spędza u łóżka chorego, a pieści go, a dogadza, a płacze i rozpacza, że nam wszystkim za nią wstyd. Jużciż nawet gdyby dla niego czuła przywiązanie . . .

Tu Elwirze głosu zabrakło, spuściła ręce z listem na kolana i czytać przestała. Matka wzięła list Jaworkowskiéj i sama po cichu czytała daléj.

Gdyby dla niego czuła przywiązanie tak gwałtowne, powinna by umieć je dla przyzwoitości poskromić. Mówią że i chory kawaler tą czułością pięknéj wdowy wreszcie się dał wywieść ze swego chłodu i czuje się szczęśliwym. Są ludzie co utrzymują, a to do niéj podobne, iż mu się hrabina oświadczyła sama, i że scena była nader czułą i tragiczną. Prezesowa utrzymuje, iż aż doktór hrabinie zakazał tych zbyt częstych i nadto długich odwiedzin, znajdując że wrażeniami zbyt gorącemi zdrowiu chorego szkodziła. Mogą to być plotki Prezesowéj, ale stojąc w tym samym hotelu mogę poświadczyć tylko, iż istotnie ona, jéj służba, kuchnia, dzień i noc tu gospodarują. Anglik go pilnuje także i zdaje się niezrażony postępowaniem hrabinéj czule też do niéj przywiązany. Słowem powieść Dumas'a, moja droga. Żałuję bardzo że końca jéj domyślając się tylko, doczytać nie będę mogła, bo muszę wyjeżdżać. Już też dosyć mam Krynicy i jéj rozkoszy. Od kąpieli dostałam strasznéj wysypki, od Prezesowéj plotek formalnéj niestrawności, od widoków tego romansu hrabinéj mam obrzydliwość emetykową. Żal mi biednéj kobiety, to pewna że zacna i poczciwa, ale głowa przewrócona, serce jakieś nienasycone i kapryśne, a pozory ją potępiają, itd.

Był jeszcze i przypisek następujący:

W chwili gdy list miałam zamykać dowiaduję się, że chory ma się gorzéj, posłano po operatora do Krakowa, który osądzi czy odjęcie ręki jest konieczności. Nawet mi go żal, bo zawsze to kalectwo! Greifer już chodzi z ręką na temblaku. Policja im ma wytoczyć proces. Hrabina cała we łzach. Widziałam ją w kapliczce klęczącą, zapłakaną, trzymającą chustkę na oczach przez całą mszę i niepodnoszącą głowy. Anglik sam pojechał po doktora. Goście nasi się rozjeżdżają chociaż deszcze ustały. Ja już muszę też do domu spieszyć, bo mi mąż pisze że się beze mnie nudzi. Bardzo poczciwe człeczysko, itd.

List doczytawszy po cichu pani Domska wcisnęła go pod poduszkę, Elwira upomnieć się o resztę nowin nie doczytanych nie śmiała. Miała ich też zadosyć i bolesnych. Owa czułość hrabiny dla Pilawskiego nie tyle ją dotknęła, co niebezpieczeństwo, w którym zostawał, przywiązania jego była pewną, a nie mogła się dziwić, że ten którego kochała, nie starając się nawet, mógł czyjeś pozyskać serce. Trudnoż mu było choremu opierać się czułym przyjacielskim staraniom hrabiny, które też, jak to zwykle bywa, z pomocą Prezesowéj i jéj podobnych plotkarek, mogły być fałszywie i złośliwie tłumaczone. To co wyczytała przeraziło ją, kalectwo naprzód, cierpienie, potem niebezpieczeństwo które grozić mu mogło. Nie chcąc przed matką okazać boleści ściskającéj serce i mimowolnie malującéj się na twarzy, Elwira wyszła powoli do swego pokoju, co matkę zaniepokoiło więcéj jeszcze. Zadzwoniła natychmiast na jedną z panien swoich i kazała córki poprosić. Po chwili dość długiéj oczekiwania, Elwira przyszła z oczyma zapłakanemi ale usiłując panować nad sobą. Domska zapomniała o wszystkiem, prócz cierpienia dziecięcia, niemiły jéj ten Pilawski, stał się jeszcze wstrętniejszym, gdyż z jego przyczyny Elwiry spokój i szczęście było zachwiane. Byłaby go wreście tolerowała już i przejednała się z nim może, byle córki usta znowu się jéj uśmiechnęły a czoło zaświeciło dawną pogodą.

— Dziecko moje, co ci jest, dla czegoś wyszła? płakałaś? zawołała Domska. Mój Boże, po co się już z tem taić, tyś się do tego człowieka przywiązała. Przekonajże się z tego listu, dodała wyciągając go z pod poduszki i oddając córce, że on nie jest wart czystego serca twojego. To bałamut jakiś. Patrz, co Jaworkowska pisze o hrabinie, juściż to kobieta nie mogła by się tak kompromitować bez nadziei wzajemności. A ty nabiłaś sobie nim głowę i mój Boże, mój Boże! Co tu począć! Łzy potoczyły się jéj z oczów.

Elwira przyklękła przy łóżku i chwyciła jéj rękę.

— Mamo, mameczko! zawołała, czego się martwisz? po co płaczesz! Znasz mnie, wstydu ci nie uczynię, a jeślim mimowolnie dała uczuciu zawładnąć sobą, wierz mi, nie wina moja. Potrafię się przemódz i zwyciężyć je. Płaczę, bo mi żal tego człowieka, jego młodości, a czuję iż my może byłyśmy powodem tego nieszczęśliwego pojedynku, który on opłaci kalectwem. Ja jego pewną jestem! Cóż mi tam hrabina. Hrabina znajdzie innego i zapomni. On do mnie powróci, on mi jest i będzie wiernym!

Ostatnie słowa niewyraźnie cicho wyjęknęła Elwira, matka zbladła i już nic nad to jedno słowo nie powiedziała: Proszę cię, uspokój się, uspokój się. Ta rada byłaby jéj saméj mogła posłużyć, biedna Domska już chora, zgryzłszy się córką na wieczór zachorowała mocniéj, tak iż posłać musiano po Geheimratha, który wprawdzie ręczył że nie było nic groźnego, ale zapisał zaraz lekarstwo i obiecał przyjść rano. Nazajutrz było napozór lepiéj, lecz osłabienie wielkie. Elwira zapomniała o wszystkiem siedząc u łóżka matki.

List pani Jaworkowskiéj, jakkolwiek trochę złośliwy, był wiernym opisem tego, co się w Krynicy działo. W istocie Pilawskiego rana była groźną i na chwilę myślano, że może rękę w ramieniu odjąć przyjdzie. Wyjechał William po operatora do Krakowa, hrabina której przyjaźń (jak ją sama nazywała) dla Gabriela tym wypadkiem spotęgowaną została, prawie nie odchodziła z jego mieszkania i jak siostra miłosierdzia była ciągle na jego usługach. Napróżno chory wypraszał się od nich. P. Palczewska despotyczna zawsze, nie dawała mu słowa powiedzieć, zamykała usta i gniewała się jeśli się jéj sprzeciwiał. Z wielką mocą ducha Pilawski znosił bolesne opatrywanie rany z któréj ciągle jeszcze kości wyjmować było potrzeba.

Gdyby nie zmiana w twarzy i wymizerowanie, po humorze i łagodności poznać by nie było można tego, co przecierpiał. Greifer nierównie szczęśliwszy już wychodził z ręką na temblaku, grał rolę bohatera, był w humorze wybornym i zachodził nawet na wiasteczka do Aksakowicza, gdzie się teraz wieczorami zbierano, zajmując szczególniéj hrabiną, Williamem i Pilawskim.

Stosunek tych trzech osób dla ludzi pospolitych był jakoś całkiem niezrozumiały. Dziwiono się Anglikowi, który siedział i służył hrabinie, patrząc na jéj czułości dla Gabriela i tysiączne wnioski czyniono na przyszłość a nawet zakłady. Jedni utrzymywali że hrabina wyjdzie za Pilawskiego, drudzy że za Anglika, inni że za żadnego z nich, a bądź co bądź, mieli o czem mówić, kogo ogadywać i zabawiali się wybornie. Pan Aksakowicz któremu i paszport wychodził i wód używanie się kończyło, wzdychając wybierał się napowrót do domu, iż nie dotrzyma do końca téj, jak ją nazywał, powieści.

Greifer po cichu mówił znajomym z uśmieszkiem pokręcając wąsa, iż jak tylko lekarz mu pozwoli i wojna, natychmiast się uda do Berlina. Ruch wszakże był mu wzbroniony i jakiś czas posiedzieć jeszcze musiał. Kuzynek Albert znudzony i trochę zniecierpliwiony na hrabinę, któréj postępowania nie pochwalał przed wyjazdem, miał z nią żywą rozmowę i rozstali się bardzo zimno. W istocie na panią Palczewską nie bez przyczyny wszyscy hałasowali, że się niesłychanie kompromitowała, a ile razy kto jéj tę uwagę uczynił, gniewała się tylko nie myśląc wcale o poprawie.

Gdy raz jéj to, całując ją i z wylaniem się, powtó-

rzyła Ormowska, hrabina chwyciła ją za ręce i w oczach jéj błysnęły dwie łzy diamentowe.

— Niepoczciwi ludziska! — zawołała, — Więc ja dla ich języków, dla oszczerstw, z obawy o moją sławę, nie mam spełnić tego, ku czemu ciągnie mnie serce, co dla mnie w téj godzinie życia szczęście stanowi? Tak jést, kochano baronowo, niech ludzie mowią co chcą, ja go kocham! Mogę to wyznać przed całym światem, bo miłość moja jest czysta, poczciwa i bez przyszłości. Ja nie wiem czy on mnie pokochać może, czy pokocha, ja czuję, że gdy wyzdrowieje odleci i nie zobaczymy się więcéj, ale kocham go i nie mogę ani chcę sercu się opierać. Miłość to poczciwa choć gorąca. Niech ludzie plotą, najmniéj mi o to idzie. Ta chwila szczęścia zapłaci mi sowicie za ich bezduszność. Ci, co nigdy nie kochali, co tego uczucia doznać nie mogą, zręcają się, widząc mnie, zgadując szczęśliwą, lituję się nad niemi.

— Ależ świat, ludzie, języki! — szepnęła baronowa.

— Pani żyłaś dosyć, ażeby świat, ludzi i paplaninę ich ocenić! Świat dziś na to kamieniami ciska, co jutro będzie ubóstwiać, ludzie wzięci razem nie warci są, by im poświęcić szczęście, paplanina ich jest dla mnie szumem wiatru.

— Ale, hrabino droga, — mówiła Ormowska, — po cóż ci uczuciu bez nadziei puszczać wodze i gotować sobie niedolę, cierpienie, zawód na przyszłość?

Załamawszy ręce chodziła Palczewska po saloniku.

— Nie wiem, droga moja, czy ja jestem inną jak ludzie, czy oni wydają się innemi niż są w istocie, gorszemi niż ich Bóg stworzył. Dla mnie w kochaniu takiem jest już szczęście, od przyszłości nic nie wymagam, któreż na ziemi jest trwałe? Ja z chwili słońca i godziny uczucia jestem rada, więcéj nikt wymagać nie może.

— Ale on cię nie kocha, sama to mówisz.

Hrabina uśmiechnęła się. — On mnie kocha i nie kocha. Musi mnie kochać jak siostrę miłosierdzia, jak dobrego towarzysza, a niepodobna by serce w piersi mu nie uderzyło, widząc jak moje bije dla niego. Ja więcéj nie wymagam. Nie mówmy o tem.

Nie przekonana żadnemi perswazjami hrabina, zaledwie wbiegłszy do domu, zabierała czego mogła potrzebować dla chorego i powracała do niego. Często nawet smętną pannę Salomeę porzucała samą i nie troszcząc się o to, co ludzie powiedzą, siadywała czytając choremu, posługując mu całemi dniami. Dla spoczynku najęła sobie pokój pod Różą osobny, w którym, nie chcąc wracać do domu, usuwała się za nadejściem doktora, lub gdy choremu nakazano spoczynek. Po wyjeździe Williama do Krakowa, podwoiła jeszcze staranie i pilność. W istocie Gabriel był chory mocno, gorączka nie ustawała, rana wydawała się groźną, lekarz nie ręczył za nic. P. Palczewska pewną była swojego Anglika, który dla przyspieszenia przybycia doktora sam się wybrał, aby ani chwili nie stracić. Liczyła wszakże godziny i coraz była niespokojniejszą. Lekarze zajęci byli rannemi po lazaretach wojskowych, nie łatwo więc znaleźć było i skłonić jednego z nich, ażeby się oddalił. Gorączka się zwiększała, a z nią łzy, niepokój, rozpacz prawie Palczewskiéj. Gdy ostatniego dnia chory wieczorem zdawał się niebardzo przytomnym, nie chcąc go na ręce obcych zostawiać, hrabina postanowiła obok w zajętym pokoiku przenocować z panną Salomeą, aby nie dać się zaniedbać czuwającemu cyrulikowi. Noc tę spędziła prawie bezsennie, podsłuchając pode drzwiami, zrywając się nieustannie wyglądając Williama, który co minuta powinien był nadjechać. Nad rankiem dopiero pocztowy powóz przywiózł go z doktorem.

Natychmiast przystąpiono do opatrzenia, oczyszczenia i sondowania rany; hrabina z nieopisanym niepokojem modliła się w drugim pokoju.

Kilka razy doszedł ją krzyk urwany i syknięcie. Nareszcie po bardzo długiem oczekiwaniu Anglik wszedł z lekarzem, który, zawinięte rękawy surduta z bardzo zimną krwią ułożywszy, siadł, ocierając pot z czoła.

— Mów pan, panie konsyljarzu, otwarcie.

— Mogę otwarcie mówić, — odezwał się lekarz, — bo w istocie prawie pewien jestem, że choremu nic się nie stanie, prócz że przecierpi wiele. Ranę musiałem rozciąć, kości powyjmować, oczyścić, a teraz przy staranniem opatrywaniu mam wszelką nadzieję, iż się stan polepszy i odjęcie ręki stanie niepotrzebnem.

Palczewska rzuciła się ściskając dłoń operatora, który śniadanie byłby może wolał od najgorętszéj wdzięczności. I to wreście podano. Hrabina, odzyskawszy swój dobry humor, podziękowała drugim uściskiem dłoni Anglikowi i poszła do domu odpocząć. Chory, który parę nocy nie spał, usnął.

Od tego dnia począł się stan jego polepszać.

Cieszyła się tem hrabina, ale pociechę zatruwała myśl, że zaledwie cokolwiek zdrowszym się uczuje Gabriel, uciecze jéj. Niedziw, że przedłużała prawie kurację i starała się wmówić w Pilawskiego, w lekarza, we wszystkich, iż ją przeciągnąć należy.

Anglik, który mógł by był dawno wyruszyć do domu, siedział dawszy słowo, iż hrabinę odwiedzi w jéj Castelu, oczekując na to, by ona doń powrócić mogła.

Sir William był dosyć oryginalnym, chociaż powierzchowność jego nie zdradzała tego wcale. Chłodny, rozsądny, unikający wszystkiego, coby na ekscentryczność zakrawać mogło, w pojęciach o świecie i ludziach, sercach i uczuciach, miał przynajmniéj tak dziwne zwroty jak hrabina. Dla tego może dosyć się dobrze godzili z sobą. Nie zrażało go naprzykład wcale to, że widział panią Emilję tak serdecznie wylaną dla Gabriela. Według niego dowodziło to dobrego gatunku serca, w którem dlań także kolej i godzina przyjść mogła.

— Wie pani, — mówił bardzo otwarcie, trzymając wedle zwyczaju dwa palce w kamizelce, wyprostowany i wyciągnięty jak struna, z dziwną powagą, jakby starego pedagoga, — wie pani, że w obecnéj chwili, gdy to, co się miłością wszelką nazywało i zowie zupełnie znika, gdyż teorje egoizmu górę biorą i od młodu wpajają się w nowe pokolenia, sam widok uczucia szczerego, rzeźwego, gorącego, jaką jest przyjaźń pani dla tego szczęśliwego Gabriela, ponętnym jest widokiem. Patrzę na to z uwielbieniem i dodam to, że gdybym wiedział, iż mnie pani tak pielęgnować będzie, poszedłbym rzucić rękawiczkę Greiferowi, prosząc, aby mi też rękę przestrzelił.

Palczewska zaczęła się śmiać, po raz pierwszy od dawna.

— Nie czyń pan tego, — odezwała się, — serce się wyczerpuje, potrzebuje wypoczynku, i nie mogę ręczyć...

— Widzisz pani, — rzekł Anglik całując ją w rękę, — ja jestem wyrozumiały i niewymagający, ja troszeczkę jéj przyjaźni jestem szczęśliwy, i mogę czekać, proszę mnie tylko nie odpędzać!

— Zmiłuj się! Gdybyś chciał uciec, nie puściłabym cię, — zawołała pani Palczewska, — przywykłam do was jak do dobrego przyjaciela i brata, który mnie rozumie, z którym się porozumieć mogę spojrzeniem jednem, z którym mi dobrze. Nie, nie, według umowy jedziesz pan mnie odwiedzić i poprawić mi park mój, z którego nie jestem zadowolnioną. Gdybyśmy jeszcze tego dobrego przyjaciela naszego porwać z sobą mogli, ale on już się teraz wyrywa do domu!

Nim Pilawski mógł wstać i przechadzać się po pokoju, Greifer już wyjechał z Krynicy.

Zdrowie pani Domskiéj, pomimo starań najczulszych córki, ponawianych narad lekarzy i zapewnień ich, iż żadne nie grozi niebezpieczeństwo, coraz się jednak pogorszało. Oczy córki najlepiéj to widziały i ocenić mogły. Smutek, apatia, potem niepokój i zniecierpliwienie naprzemiany nią owładały. Były dnie, w których nie przemówiła słowa, lub odpowiadała roztargniona, a po nich następowały groźniejsze jeszcze gorączkowe pytania, troski, zajmowanie się drobnostkami i przeczucia groźne we wszystkiem. Elwira, zapomniawszy o sobie, ciągle była z nią, a pracowała nad sobą tak, by matka domyśleć się nawet nie mogła, co miała w duszy.

Jednego wieczora po takim dniu milczenia i jakby osłupienia, Domska siadła na łóżku i chwyciwszy rękę córki, długo patrzała na nią, aż się we łzy rozpłynęła.

— Dziecko moje, — zawołała, — nie chciałabym cię przestraszać, ale czuję, że życie uchodzi, że mi go pozostało nie wiele, że umrę prędko. Śmierć! To nic, ale cóż się stanie z tobą? Tyś sama jedna w świecie, ty nie masz nikog! Krewni ojca mojego wyparli się nas dawno, rodzina twojego nas znać nie chce. Jak ja cię porzucę, komu cię powierzę? Tyś młoda, niedoświadczona... Ja nie mogę pomyśleć o tem.

— Niech mama nie myśli, — przerwała Elwira, — ten niepokój pochodzi z choroby i z nią przejdzie, te przeczucia są także nerwowem osłabieniem, doktor zaręcza...

— Ah, ci doktorzy, — odezwała się Domska, — oni o tem sądzą, co zobaczyć mogę, a co ja czuję, tego nie widzi z nich żaden! Zmęczona jestem życiem, nie mam już do niego siły. Będę żyć czy nie, nam pomówić trzeba, ty mi musisz powiedzieć, na czyją cię oddam opiekę. Wybór tak trudny!

Próżne były pytania. Elwira płakała i mówić nie chciała o niczem. Drugiego dnia, gdy nadszedł Geheimrath, który był przyjacielem domu, skorzystała Domska z chwilowego oddalenia się córki.

— Kochany radzco, — rzekła, — znasz moją historję i położenie, wiesz żem sama na świecie. Śmierci, któréj zbliżanie się czuję, nie obawiam się wcale, powiedz mi otwarcie, na wiele czasu rachować mogę?

Geheimrath strzepnął rękami oburzając się przeciwko tym, jak je nazwał, chorobliwym imaginacjom. Domska zmilczała.

— Nie mówmy więc o tem, — dodała, — ale znając położenie moje, na wszelki wypadek, radź mi kogo mam córce wyznaczyć za opiekuna?

Doktór zmierzył oczyma chorą.

— Pani nie masz wcale powodu z tem się spieszyć, lecz jeśli się jéj podoba zawcześnie coś ułożyć, radźmy. Któż jest z rodziny?

— Nie ma nikogo, to wiecie.

— Z waszéj?

— Ta się nas także wyparła.

— Szukajmy między przyjaciołmi.

W położeniu pani Domskiéj i o tych było trudno. Żyła z niewielu bliższemi osobami, ściślejszych z nikim nie zawierając stosunków. W klasie średniéj, do któréj należała teraz, trochę ją uważano za arystokratkę, szlachectwo dawne odgradzało ją od ludzi nowych niedowierzających zawsze tym, co do ich obozu przeszli z drugiego, zwanego nieprzyjacielskim.

Z dawnego świata, z którym zerwała, mało kto zbliżył się do niéj, obawiając otrzeć się razem o towarzystwo, jakiego się wkoło niéj domyślano. Mając córkę dorastającą, Domska musiała też być wielce oględną z przyjmowaniem w swym domu i zawiązywaniem bliższych znajomości. Średnia klassa jest prawie tak drażliwą jak dawna arystokracja, tam gdzie przed nią nie biją czołem i nie otwierają podwoi na rozcież, cofa się z obrażoną dumą. W domu pani Domskiéj bywał pan Geheimrath, stary nauczyciel

muzyki, niegdyś dyrektor, orkiestry i znakomity kompozytor, dwóch czy trzech profesorów łysych, którzy Elwirze lekcje dawali, kilku kupców bogatszych mających córki w jéj wieku, i ze szlachty jeden ubogi stary krewny po ojcu.

Był to jedyny człowiek, który już po otwarciu magazynu przez Domskę, sam, *proprio motu*, zjawił się u niéj, i odtąd ile razy znajdował się w Berlinie zawsze tu przesiadywał, okazując jéj szczerą przyjaźń, na którą rachować było można.

Pan Szczęsny Żałobski był ciotecznym bratem ojca pani Domskiéj. Za szczęśliwych czasów świetności tego domu, nie pokazywał się tam prawie, zasłyszawszy o smutnéj doli dalekiéj krewnéj, pospieszył do niéj. Człowiek był tak dobry, że aż nadto. Jemu też i ludziom go otaczającym źle z tem było. Osiadły w Poznańskiem na tych kresach, gdzie o byt i utrzymanie się przy ziemi i przy stanowisku ciężko walczyć przychodzi, nie wypoczywając ani godziny, pan Szczęsny, w brew imieniowi swemu, był najnieszczęśliwszym z ludzi. Całe życie bił się z ruiną, która go powoli zatapiając w końcu pochłonąć miała. Pracował niezmordowanie, ale nieumiejętnie, trud jego szedł marnie. Spełniając wszelkie obowiązki obywatelskie, poświęcał się chętnie dla drugich, a sam zarzynał. Nie mając po owdowieniu ani dzieci, ani bliższéj rodziny, mniéj już dbał o to, co zostawi po sobie. Szło mu tylko, by nie przeszło w ręce obce. Zawsze niesłychanie zajęty, członek wszystkich stowarzyszeń, prezes wszelkich możliwych komitetów, delegowany zawsze tam, gdzie skóra boleć mogła i worek pokutować, ścigany przez konserwatystów jako zanadto postępowy, a przez liberalnych jako zbyt do tradycji i form przywiązujący się, z obu stron bity, przez obie zużytkowany, uważał to za tak naturalne, iż się nigdy nawet nie poskarżył. Obowiązki przedewszystkiem, to było godło, które ciągle powtarzał dodając po cichu, niechaj boli jako chce.

Umiejąc wiele więcéj, niż ci, co go otaczali i co się nim wysługiwali, uchodził za nieuka, trafne jego sądy i rady zawsze sobie ktoś przywłaszczył, podchwycił, ogłosił za swoje i rósł na nich, gdy poczciwy pan Szczęsny milczał. Sypał nawet często brawo mówcy, który jego ideę rozwijał tryumfalnie, a gdy mu kto o tem wspomniał, powiadał: — Albo to idzie o mnie? byle się poczciwa rzecz wykonała.

Z tych kilku rysów można powziąść wyobrażenie o panu Szczęsnym, który powierzchownością też nie odznaczał się. Chodził zwykle w stroju tak zaniedbanym, że go często z tego powodu u drzwi przyjaciół spotykały nieprzyjemne sceny. Śmiał się z tego serdecznie. Twarz dobra, pełna wyrazu łagodności i spokoju, nie uderzała rysami, wabiła pokorą i skromnością. Do tego wszystkiego łączył jeszcze wadę, czyniącą go najnieszczęśliwszym, był roztargniony jak dziś nikomu być nie wolno. Nieustannie coś gubił, czegoś zapominał, za coś płacił i miał kłopoty, z których się wykupywać sowicie było potrzeba. Życie poświęceń i dystrakcji w końcu z dwóch odłużonych wiosek zepchnęło go na jedną, z téj jednéj większéj, na jedną maleńką, a przewidzieć już było łatwo, że pożywszy zejdzie na dzierżawę plebanji. Nie psuło to mu humoru wcale. Ostatni grosz oddawał na pomoc naukową i szkółki.

Jakkolwiek nieudolnym wydawał się Szczęsny pani Domskiéj, znając jego cnotę i sumienie, rozum i trafność w cudzych sprawach, nie mogła wybrać kogo innego na opiekuna córce. Od roku go już nie widziała, zbytecznie zajęty, nie był ani razu w Berlinie. W tajemnicy przed córką, z pomocą starszéj panny, w nocy napisała Domska, czując się gorzéj do Żałobskiego. List był w kilku słowach, z prośbą, ażeby przybyć raczył jak najprędzéj. Dodała, że jest słabą i pomocy jego potrzebuje. Szczęsny w takim razie rzucał wszystko i choćby dla nieznajomego stawił się zawsze. Nie wątpiła pani Domska że i tym razem pospieszy.

Jakoż trzeciego dnia po wyprawieniu listu, ostrzeżony w nim, ażeby nie wydawał się z tem, że został wezwanym, zjawił się Szczęsny w progu... zmęczony cało nocną podróżą, w dodatku z febrą, którą od kilku cierpiał tygodni, i któréj paroksyzm rozpoczynający się nadawał mu przykro zmienioną fizjognomję.

Na przywitaniu, Elwira która nadbiegła zaraz, postrzegła żółtość jego twarzy.

— Cóż to dziaduniowi takiego?

— Mnie! ale to nic! Od dwóch tygodni mam febrę, mała rzecz. Choroba, która inne odpędza i zdrowie daje. — Zatarł ręce. — Dziś właśnie mnie ziębi, nieuważam na to. Śmiał się stary, ale zębami dzwonił. Podano herbatę którą pił chciwie. Wejrzenie jednak na krewnę, choć tego nie pokazywał po sobie, nastraszyło go. Po roku niewidzenia wydała mu się dziwnie a groźno zmienioną. Poleciwszy Elwirze jakieś zajęcie, Domska zatrzymała Szczęsnego na obiad, a gdy córka wyszła, chwyciła go za rękę.

— Poczciwy mój, dobry stryju, — rzekła, — spadnie ci ciężar na głowę nowy. Nie mam nikogo, nikogo! musisz przyjąć na siebie nad Elwirą opiekę.

— Co? jak? — przerwał Żałobski, — dla czego?

— Ze mną, — cicho dodała matka, — ze mną jest źle, między nami, stryju kochany, ja się czuję nie dobrze.

Stary usiłował myśl tę odegnać, ale napróżno.

— Zawołałam cię, aby poprosić o tę usługę chrześciańską dla sieroty. Nie mogę dopuścić, aby rodzina nieboszczyka męża miała się wmięszać w to. Tobie zostawię wszystko.

Żałobski rękami rzucał, ale w końcu się zgodził, a cała ta narada odbyła się tak po cichu i nieznacznie, iż Elwira wcale się nie domyśliła. Dwa dni przesiedział ze swą febrą, która już była codzienną, pan Szczęsny, uprowidował się w chininę, i trzeciego musiał wyruszyć do domu dla posiedzenia spółki, na któréj wszyscy zyskiwali, on tylko jeden jakoś tracił. Takie już było jego przeznaczenie.

Nierównie spokojniejszą po wyjeździe p. Żałobskiego, była już Domska, ale i to ją nie poratowało, siły uchodziły. Geheimrath składał chorobę na wody niezupełnie właściwie zadysponowane (na które się przecież sam zgodził), słotne lato, i wrażenia tego niespokojnego czasu. Lekarstwa przepisywane nie pomagały, biedna kobieta modląc się, płacząc, coraz częściéj wzywając córki, aby się nią nacieszyć, powoli dogorywała.

Krynica stawała się z każdym dniem puściejszą, odjeżdżali nawet ci, którym się najmniéj powracać chciało do domu. Aksakowicz kupiwszy wina na Węgrzech zwijał swój obóz z dnia na dzień, tylko dla wisteczka jeszcze, wśród opakowanych tłumoków, przeciągając pobyt już zbyteczny. Greifer zniknął, wyniósł się major Hotkiewicz i inni panowie, oprócz pana Karola Surwińskiego, który dotrzymywał placu w nadziei, że się nakoniec tajemnica wielkiego nieznajomego odkryje. W czasie leczenia jego, był pewnym, że ktoś przecie nadjedzie z rodziny, że się incognito owe odsłoni i prawdziwa postać wypłynie na wierzch. Zawiódł się na tem, ale niemniéj stał przy swojem, kiwał głową i szeptał tylko: — Są zapewne ważne przyczyny! Siedziała jeszcze pani Ormowska dla hrabiny. Prezesowa dla Ormowskiéj pozornie, a w istocie dla plotek. William dla pani Emilji, pani Emilja dla Pilawskiego, który teraz miał się już codzień lepiéj. Była nadzieja, że z ręką na temblaku wyruszyć już będzie mógł bardzo prędko. Tymczasem właściciel hotelu nawet się pakował. Krynica powoli pustoszała i już można mieć było przedsmak téj ciszy i wyludnienia jakie tu panuje zimą. Wszystkie wody i stacje zdrowia, na które pewna tylko pora przypada przynosząca im życie, mają ten byt przerywany, to usypianie i budzenie się, zmieniające je do niepoznania. Kto widział Niceę w lecie, a Wiesbaden zimą, gdy nawet ławki z ogrodów uciekają, może mieć wyobrażenie czem jest taka Krynica po odjeździe gości. Zostają tu na zimowe, jesienne, wiosenne, dłuższe rekolekcje, stróżowie do mostu i ofiary niedoli, które gdyby jak bobaki pozasypiać mogły, nim się nowi zjadą goście, byliby pewnie bardzo szczęśliwi.

Gospodarze prawie już nie radzi byli tym, co pobyt tu przeciągali, kazali im płacić za swój zły humor, a że wody zaopatrzone są w środki do życia obfitsze tylko latem, zaczynała się obawa, by chleba i mięsa nie zabrakło. Hrabina, którąby w innym razie pierwsza jaskółką odleciała gdzie z téj ciszy, siedziała tylko dotrzymnjąc placu choremu, który jeszcze nie wyjeżdżał dla tego, że mu ona nie pozwalała. Z dnia na dzień rada była przedłużać to dziwne pożegnanie z marzeniem szczęścia, nie miała siły. Anglik był anielsko cierpliwy. Wolnych chwil używał na naukę języka, którego alfabetem się krztusił, a ortografją zdumiewał. Był już pewnym, że nie nauczy się nic, ale chciał choć zajrzeć w te przepaście tajemnicze. Prawdziwie nieszczęśliwą była panna Salomea naprzód już z powołania swego jako demoiselle de compagnie, powtóre jako stara (troszkę) panna; potrzecie przez kwaśny temperament, a ostatecznie z okrutnych nudów, bo hrabina ją zamęczała, a nie było się nawet komu poskarżyć.

Pierwszy silny chłód nastraszył wszystkich, a że Pilawski oprócz tego naglący list odebrał z Warszawy, zaczynano się wybierać. Ostatniego wieczora hrabina siedziała zadumana w fotelu z książką, którą tylko co czytać przestała. W drugim pokoju Anglik bawił przez grzeczność pannę Salomeę, z całych sił powstrzymującą się od ziewania, Surwiński grał w szachy z cyrulikiem w kątku. Cisza grobowa panowała w całéj Krynicy.

Hrabina długo w milczeniu spoglądała na Gabriela, który siedział ubrany z ręką na temblaku, z tą twarzą spokojną i napozór chłodną, któréj mu ani boleść skrzywić, ani radość rozpromienić nigdy nie umiała. Coś w temperamencie, coś w wychowaniu, może w położeniu samem było takiego, co mu pełniejszą piersią w życie się rzucić wzbraniało, co go czyniło bojaźliwym niemal i wstrzemięźliwym, co go na wodzach trzymało. Hrabina z wyrzutem jakimś patrzała nań, patrzała i nagle jakby ze snu przebudzona, zawołała:

— Odezwij, że się ty straszny sfinxie milczący? Odezwij się przecie tak, aby w słowach odezwało się życie, uderzyło serce, — pan dla mnie jesteś zagadką!

— Ja nim jestem dla siebie także, — odezwał się Gabriel, — ale jedno pani jasno i dawno wyczytać byłaś powinna z mych oczów, wyrazów, z całéj mojéj istoty, że mam dla pani szacunek najwyższy, wdzięczność najgorętszą.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Wierzę ci, rzekła, ale nie dosyć mi tego, Ja bo widzisz, inaczéj stosunek nasz rozumiem. On cię bardzo kochał Walterze, dodała ze łzami. Mówił mi to przed samą śmiercią i powiedział: Florciu, pamiętaj o nim zawsze jeśli więc dzisiaj, kiedy go już nie ma i kiedy sama jestem na świecie, ty, zechcesz być mi bratem, ja nawzajem pozostanę ci na zawsze siostrą kochającą. Oto com ci pragnęła powiedzieć, Walterze, ale nie mogę wyrazić się tak jakbym chciała; serce nadto mam przepełnione.

To mówiąc, jakby w dopełnieniu tego co brakło jéj słowom, podała mu obie ręce z niewinną swobodą; Walter je uścisnął i pochylając się ku niéj, dotknął ustami jéj twarzy łzami zalanéj. Nie cofnęła się ani też zarumieniła, owszem — rzuciła mu wejrzenie tchnące miłością szczerą i pełną wiary. W téj chwili wszelki smutek i wszelkie zwątpienie pierzchnęły z duszy Waltera. Zdawało mu się, że odpowiadał temu czystemu wezwaniu stojąc przy łóżeczku konającego dziecięcia, w owéj uroczystéj godzinie któréj pamięć została mu tak wyraźną, i w głębi serca poprzysiągł przechować w sobie z braterskiem uczuciem obraz Florci, przez czas swego wygnania i dotrzymać jéj wiary w tejże saméj myśli niewinnéj, w jakiéj ona być mu wierną przyrzekła. Postanowienie to było u Waltera najszczerszem, byłby się czuł spodlonym i niegodnym zaufania Florci, gdyby kaził inną jaką nadzieją świętość téj chwili.

Uważając za stosowne przerwać w tem miejscu rozmowę dwojga młodych Zuzia odezwała się niespodzianie zapytując, kto życzy sobie herbaty a kto bawarki? potem zaprosiła wszystkich do stołu. Zasiedli tedy we czworo pośrodku małéj izdebki, któréj zakopcone ściany zdawała się w téj chwili rozjaśniać promienna postać Florci.

Na godzinę przed tem, Walter nie byłby nazwał za nic w świecie panny Dombey po imieniu. Teraz zaś, mógł to czynić ilekroć do niéj się odzywał, mógł też myśleć o niéj nie wymawiając sobie tych myśli jak występku. Miał prawo cieszyć się jéj pięknością, marzyć o świetnéj przyszłości jaka ją czekała, o szczęściu jakiem jéj serce miało kiedyś obdarzyć wybranego przez nią człowieka. Przypominał sobie miejsce jakie sam w tem sercu zajmował, i czynił to z dumą ale nie z zarozumieniem. Stać się godnym Florci zdawało mu się niepodobnem, ale za cel życia postawił sobie nie zostać nigdy jéj niegodnym.

Musiały chyba ręce Zuzi zaprawić czarem jakim ową herbatę, że się tak przy niéj rozweselono. Zkądinąd znowu, złośliwe jakieś wpływy wyraźnie przyspieszały w téj godzinie ruchy chronometru starego Sola. Zanim się opatrzono, już minęła była pora w któréj Florcia miała odjechać. Czyż mogło być tak późno? może zepsuł się był zegarek? Wszyscy z wyjątkiem starego Sola, skłonni byli to przypuścić, ale kiedy chodziło o ocenienie zalet jego chronometru, Gills byłby wolał nie opóźnić chwili własnéj śmierci, jak przyznać, że ów niezrównany zegarek mógł się pomylić.

Zanim Florcia odeszła, powtórzyła jeszcze starcowi swą prośbę i otrzymała żądaną obietnicę. Salomon pożegnał ją u drzwi sklepu, a gdy minęła drewnianego miczmana, oddał obie kobiety pod opiekę Waltera aby je odprowadził do czekającego w pobliżu powozu.

— Teraz kiedyśmy sami, rzekła wtedy do młodzieńca Florcia, uczynię ci zapytanie na które nie odważyłam się w obecności twego wuja. Czy myślisz że długo potrwa twoja podróż?

— Nic o tem nie wiem pewnego, odpowiedział Walter, oby mi nie wypadło bardzo długo wyczekiwać chwili mojego powrotu i sądzę że nie inaczéj rzecz tę uważał pan Dombey, przeznaczając mi ową posadę.

— Jestże łaską, ów wybór? spytała po chwili wahania, patrząc mu w oczy z wyrazem niepokoju.

Walter rad był utwierdzić ją w tem mniemaniu, ale zanim się odezwał, już oczy jego przemówiły były, i znaczenie téj odpowiedzi nie uszło bacznéj uwagi jego towarzyszki.

— O ile mi się zdaje, nie bardzo byłeś w łaskach u mojego ojca? spytała nieśmiało.

— Dla czegóżby miało być inaczéj? odrzekł z uśmiechem.

— Dla czegoż, czyż możesz o to pytać?

— W każdym razie dawniéj nie było do tego powodu. Z resztą, jest nas tylu w kantorze, — pomiędzy Dombeyem, a biednym aplikantem jak ja, jakże daleka przestrzeń! Jeśli dobrze spełniam mój obowiązek, czynię to tylko co się ode mnie należy i nie mam prawa żądać żadnych wyróżnień.

Od owéj nocy w któréj Florcia weszła była do ojca pokoju, zbudziło się w niéj podejrzenie, nie wyraźne jeszcze i nie jasno określone, ale nabierające z dniem każdym kształtów pewniejszych. Czy nie przypadkowe poznanie się jéj z Walterem i życzliwość jaką jéj oka zywał, były powodem owéj niechęci, a nawet odrazy jaką czuł względem niego Dombey? Od pewnego czasu, Florcia coraz częściéj zadawała sobie to pytanie. Być może, że myśl podobna nawiedziła także w chwili obecnéj Waltera, lub też domyślił się jéj tylko u Florci; bądź co bądź, ani on ani ona nie odważyli się dotknąć tego przedmiotu i przez czas jakiś szli w milczeniu obok siebie. Tymczasem Zuzia idąca za niemi, przypatrywała się bystrem okiem obojgu i znać było, że myśli jéj obierały z upodobaniem ten sam co wzrok kierunek.

— Może też prędzéj powrócisz niż sądzisz, Walterze, rzekła po pewnym czasie Florcia.

— A może znowu powrócę starcem i ciebie zastanę sędziwą już panią. Ale nie, tak nie będzie; mam jakoś lepsze w tym względzie poczucie.

— Ojciec mój, rzekła Florcia po chwili milczenia, uspokoi się z czasem, pocieszy się nieco w swym smutku i wtedy... może chętniéj będzie ze mną rozmawiał. Jeśli kiedy przyjdzie do tego, powiem mu Walterze, ile pragnę cię zobaczyć i poproszę, aby to dla mnie zrobił żebyś powrócił.

Mówiła o ojcu głosem tak wzruszonym, że Walter czuł aż nadto, ile cierpiała dotykając tego przedmiotu.

Już doszli byli do powozu. Młodzieniec poznając w téj chwili czem jest boleść rozstania, zabierał się do odejścia nie wyrzekłszy ani słowa, kiedy siedząca już w powozie Florcia wzięła jego rękę i uczuł że w nią coś wsuwała.

— Walterze, rzekła utkwiwszy w oczach jego wzrok pełen uczucia, i ja także mam na przyszłość dobre przeczucia. Będę Boga prosiła, aby spełnił moje nadzieje. Przyjmij ten mały podarek; przeznaczałam go kiedyś Pawełkowi, — niech ci dziś będzie zakładem mojéj przyjaźni. Nie otwieraj téj paczki aż po twoim odjeździe! A teraz, bywaj zdrów, kochany Walterze, niech cię Bóg prowadzi. Nie zapomnij o mnie nigdy tyś bratem moim drogim.

Na szczęście młodzieńca, Zuzia przerwała w téj chwili tę ostatnią rozmowę. Gdyby nie to, Florcia mogła była odjechać ze smutnem wrażeniem; siły wyraźnie już go opuszczały, rad był nawet kiedy przestała wyglądać z powozu i kiedy już widział tylko drobną jéj rączkę poruszającą się zdaleka na znak pożegnania.

Pomimo zalecenia Florci, Walter nie potrafił doczekać dłużéj jak do wieczoru z otworzeniem zostawionéj mu paczki. Znalazł w niéj mały woreczek z pieniędzmi.

Nazajutrz, słońce wyjrzało na świat promienne po powrocie z krain dalekich. Zaledwie Walter wstał z łóżka, usłyszał pukającego do drzwi kapitana Cuttle, który wyszedł był z domu bardzo wcześnie, dla uniknienia spotkania z groźną wdową Mac-Stinger. Prawdopodobnie wyrachowanie to nie zawiodło go, zdawał się bowiem bardzo wesół; w kieszeni od błękitnego fraka przyniósł był wędzony ozór do śniadania.

— Walterze, rzekł, gdy już we trzech do stołu zasiedli, jeśli stary Sol jest dziś tak raźny jak my dwaj, to nam przyniesie z piwnicy ostatnią butelkę madery.

— O nie mój stary, odpowiedział Salomon, — nie wypijemy jéj teraz. Będzie ona czekała powrotu Waltera.

— A może i dobrze mówisz, przyjacielu, zawołał ochoczo kapitan. Niechże się stanie według twojéj woli. Słuchajmy go Walterze, bo on zawsze mądrze prawi.

— Stoi ona tam — rzekł Gills — w saméj głębi piwniczki, przyprószona kurzem i osnuta pajęczyną. A może i my dwaj Nedzie, tak samo będziemy ziemią przysypani, zanim ona na świat wyjrzy.

— Słuchajmy go! zawołał Cuttle, — wszakże mówiłem że warto. A cóż czy nie mądrze powiedział? Pamiętaj Walterze okrzesywać drzewo dopóki młode, za to jak wyrośnie cieszyć się będziesz jego cieniem. Gdzie to czytałem? jak mi Bóg miły już nie wiem, — ale żem gdzieś czytał, tego jestem pewny. Jeśli gdzie napotkasz tę sentencją, zaznacz ją sobie. A co nam więcéj powiesz, Gillsie? Słuchamy cię bacznie.

— Otóż gdzie bądź my się podziejemy, butelka zostanie w miejscu, dopóki się po nią Walter nie zgłosi, rzekł starzec. To tylko chciałem wam powiedzieć.

— I dobrze powiedziałeś -- zawołał wesoło Cuttle, a ja dodam jeszcze. Jeśli nie wypróżnimy kiedyś we trzech téj butelki, to wam daję całoroczną moją pensją do przepicia!

Pomimo nadzwyczajnego ożywienia kapitana, apetyt wyraźnie mu jakoś nie służył owego poranku, jakkolwiek udawał że mu ozór bardzo smakuje ilekroć widział uwagę na siebie zwróconą. To czego najbardziéj w duchu się lękał, było pozostać sam na sam bądź to z wujem, bądź z siostrzeńcem; czuł bowiem że dopóty tylko potrafi dobrze się trzymać, dopóki we trzech pozostaną. Gdy Salomon wyszedł na chwilę żeby się przebrać, trwoga natchnęła kapitanowi szczęśliwy pomysł, pobiegł ku drzwiom sklepu dowodząc że widział przejeżdżający bardzo dziwny jakiś powóz; gdy zaś Walter poszedł na górę aby pożegnać sąsiadów, Cuttle wybiegł aż na ulicę zapewniając z przerażeniem, że widział ogień buchający z komina domu przeciwległego. W jego przekonaniu, były to podstępy tak zręczne, że nikt nie mógł po za niemi prawdy się dopatrzeć.

Gdy Walter przechodził przez sklep powracając z górnego piętra, spostrzegł twarz jakąś bladą

i zwiędłą zaglądającą po przez szyby. W jednéj chwili młodzieniec był u drzwi.

— Ach! to pan! zawołał ściskając z serdecznem uczuciem rękę Carkera młodszego i wciągając do sklepu. Ależ proszę wejść. Jakiś pan dobry żeś się tak rano z domu wybrał żeby mię pożegnać, żeby mi dać tę uciechę zobaczenia się raz jeszcze z panem. Proszę wejść do nas koniecznie.

— O ile mi się zdaje, nie zobaczymy się więcéj rzekł Carker opierając się łagodnie naleganiom młodzieńca. Mogę zatem nie lękać się tego ostatniego spotkania; nie będę już potrzebował odpierać téj chęci twojéj tak szczeréj zbliżania się do mnie.

— Ach panie! zawołał Walter, czemuż ją dotąd odpierałeś? Stosunek z tobą same tylko dobre mógł dla mnie przynieść owoce.

Carker potrząsł smutno głową.

— Gdybym był w stanie cośkolwiek dobrego dla siebie uczynić Walterze, rzekł z westchnieniem, z pewnością byłbym to uczynił. Codzienna obecność twoja była mi zarazem szczęściem i gorzkim wyrzutem. Ale pierwsze z tych uczuć przemagało nad drugiem, czuję to teraz kiedy cię tracę.

— Ale wejdźże kochany panie, musisz się poznać z moim kochanym wujem, rzekł Walter usiłując wprowadzić Carkera do domu i nieco zakłopotany tym jego oporem. Nie wspominałem o naszéj ostatniéj rozmowie ani przed nim ani przed nikim na świecie, wierzaj pan temu.

Carker uścisnął rękę Waltera i łzy stanęły mu w oczach.

— Jeśli się kiedy poznam z twoim wujem, rzekł, to na to aby się od niego czegoś o tobie dowiedzieć. Bądź jednak pewien, że nie nadużyję nigdy waszéj pobłażliwości i waszych względów. Byłoby to zaś nadużyciem dobréj wiary z mojéj strony, gdybym twemu wujowi nie powiedział całéj prawdy o sobie, zanim zażądam od niego dowodów zaufania. Ale najpewniéj nie przyjdzie nigdy do żadnych pomiędzy nami stosunków. Nie mam dotąd innego przyjaciela jak ty, i sądzę że już innego szukać nie potrafię, choćby nawet dla miłości twojéj.

— Jeślim zawsze życzył abyś pan nie odrzucał mojéj przyjaźni, rzekł Walter, nigdy pragnienie to nie było gorętszem jak dzisiaj, kiedy się rozstać mamy, bo wszakże w przyszłości zejdziemy się znowu kiedyś.

— Któż to wie? odrzekł smutno Carker. Dosyć mi tego żeś był serca mojego wybrańcem, niemałą to było dla méj niedoli osłodą. Im cię bardziéj unikałem, tem mię silniéj to serce ku tobie ciągnęło, tem przemożniéj wtedy w niem panowałeś. Ale dosyć już tego, — bywaj zdrów — żegnam cię Walterze.

— Niech cię Bóg ma w swojéj pieczy drogi mój przyjacielu, temi słowy ja ciebie żegnam, zawołał Walter głęboko wzruszony.

— Jeślibyś za powrotem nie zastał mię więcéj w moim zwykłym kącie, rzekł jeszcze Carker, to się zapytaj kogo, gdzie mnie masz szukać i przyjdź rzucić okiem na moją mogiłę. Pomyśl wtedy Walterze, że i ja mogłem być uczciwym i szczęśliwym jak ty. Nie mogę pomyśleć gdy nadejdzie ostatnia moja godzina, że kiedyś człowiek taki jakim sam byłem u wstępu życia,zatrzyma się przez chwilę koło mojego grobu i wspomni o mnie z uczuciem litości i przebaczenia. Oto już wszystko co miałem ci powiedzieć, — raz jeszcze żegnam cię Walterze.

To rzekłszy, odszedł — i wlokąc się jak widmo ulicą zalaną słońcem letniego poranku, pełną gwaru i wesołości, znikł zwolna pośród tłumu.

Nieubłagany chronometr starego Sola oznaczył wreszcie godzinę, w któréj Walter miał się ostatecznie rozłączyć z drewnianym miczmanem. Młodzieniec siadł tedy do dorożki w towarzystwie wuja i kapitana. Dojechawszy do wybrzeża, wszyscy trzéj udali się na pokład statku odpływającego do miejsca rzeki, gdzie stał na kotwicy okręt mający zabrać Waltera. Przybywszy tam, stali się pastwą zgrai przewodników, z których każdy mniéj lub więcéj podchmielony, chciał ich koniecznie zabrać na swoją łódkę. Wybór kapitana padł ostatecznie na czółno starego jednookiego majtka, w którym poznał dawnego okrętowego znajomego, ku wielkiéj obudwu uciesze, i za jego sprawą niebawem nasi podróżni znaleźli się na pokładzie okrętu *Syn i spadkobierca.*

Wszytko tam było w stanie zamętu i bezładu nie do opisania. Zmoczone żagle leżały na zalanym wodą pokładzie, tu i owdzie plątały się porzucane na ziemi sznury o które przychodziło potykać się co chwila; ludzie bosi i poubierani w czerwone koszule krzątali się we wszystkich kierunkach beczki i skrzyń stosy zapełniały każdy kąt wolny, a pośród tego wszystkiego czarny jak smoła kucharz, warzył obiad w kuchence niemniéj od niego zakopconéj, obrzucony kupami warzywa i na wpół przysłoniony kłębami gęstego dymu który go otaczał.

W téj chwili kapitan wziął Waltera na stronę, i z wysileniem od którego twarz mu poczerwieniała, dobył gruby swój srebrny zegarek z kieszeni w któréj mu było tak ciasno, że prawdziwym cudem z niéj wychodził.

— Weź go chłopcze, rzekł ściskając serdecznie młodego chłopaka i wsuwając mu zegarek w rękę, — to mój pożegnalny podarek. Pamiętaj tylko cofać go codzień o kwandrans z rana i także o kwadrans po południu, a będziesz mógł pochwalić się każdemu tym zegarkiem.

— Kapitanie, ani chcę o tem słyszeć, zawołał Walter przytrzymując Cuttla, który już mu się wymykał. Proszę cię, zabierz twój zegarek, nie potrzebny mi jest; wszakże mam inny.

—W takim razie rzekł kapitan dobywając z drugiéj kieszeni dwie srebrne łyżeczki i takież szczypczyki które wziął był na wszelki wypadek, —weź że to przynajmniéj.

— Ale nie, to niepodobna, odparł stanowczo Walter. Stokroć ci dziękuję kapitanie, ale za nic w świecie nie przyjmę tego srebra. Sehowaj je, może ci się ono przydać lepiéj niżeli mnie. Schowaj to wszystko, mój kapitanie, dodał z naleganiem widząc, że się Cuttle już zabiera rzucić w przystępie rozpaczy szczypce i łyżeczki do morza,—a w zamian daj mi twą laskę na pamiątkę. Ot tak—dobrze—a teraz, bywaj zdrów kochany kapitanie; odwiedzaj często wuja i miéj o nim staranie. Żegnam cię drogi wuju—Bóg niechaj czuwa nad tobą w każdéj chwili.

Zanim mógł Walter rzucić im obudwu ostatnie spojrzenie, już znikli byli wśród ogólnego zamięszania. Gdy pobiegł ku tyłowi okrętu żeby ich jeszcze zobaczyć, spostrzegł na łódce wuja z głową o brzeg jéj opartą, przy nim stał kapitan klepiąc go po plecach srebrnym zegarkiem, któremu nie bardzo musiało to wychodzić na zdrowie i machając ręką trzymającą łyżeczki i szczypce w postawie pełnéj otuchy. Gdy spostrzegł Waltera, puścił z rąk swoje skarby, ani widząc jak upadły na dno łódki, i porwawszy za swój ceratowy kapelusz machał nim zawzięcie dopóki tylko widać go było. Nie długo to jednak już trwało wkrótce ostatnie łódki poodpływały z pożegnalnemi okrzykami, żagle porozwijały się u masztów szczytu wzdęte wiatrem pomyślnym i piana wytrysła z pod piersi okrętu. *Syn i Spadkobierca* rozpoczynał swą podróż równie pełen nadziei i odwagi jak niedawno temu inny syn i spadkobierca, którego już otchłań pochłonęła....

Dzień po dniu, Salomon zasiadał z kapitanem nad kartą rozłożoną na stole w izdebce zasklepowéj, i obadwaj obliczali ile już mógł drogi odbyć Walter. Wieczorem, kiedy stary Sol odchodził samotny do pokoiku pod strychem kędy wiatr swobodnie się przechadzał, przypatrywał się uważnie niebu i badał stan powietrza uważniéj i dłużéj niż to czyni żeglarz czuwający na pokładzie okrętu. A tymczasem, ostatnia butelka madery która zaznała także w swych dalekich podróżach niebezpieczeństwa morskiéj toni,wypoczywała spokojnie w piwniczce pod swą osłoną z kurzu i z pajęczyny.

VI.

Podróż Dombeya.

— Łaskawy panie, mówił major do Dombeya, Józef Bagstock nie jest w ogóle człowiekiem uczuciowym; przeciwnie—serce on ma zahartowane niepomiernie; z tem wszystkiem, serce to umie odczuwać takie nieszczęście jak twoje i w podobnym razie....

Tu uciął znagła jakby zmuszony do tego wzruszeniami. Po chwili, przybrawszy wyraz niezłomnéj stałości, zawołał:

— Niech mię wszyscy djabli wezmą, jeśli się dam więcéj téj słabości!

Wymawiając te słowa, Bagstock wprowadzał do siebie Dombeya, którego zaprosił był na śniadanie. Zaraz potem, mieli razem wybrać się w podróż. Z okazji owego śniadania murzyn majora był także nieszczęśliwy od samego rana; nie mógł bowiem w żaden sposób dogodzić swojemu panu w doborze wszystkiego, co miało składać ową ucztę.

— Rozumiem że nie wypada staremu wiarusowi jak ja, poddawać się do tego stopnia swym wrażeniem, mówił daléj major, ależ jak mi Bóg miły, cierpię pewno niemniéj od pana.

Twarz jego przybrała ciemniejszą jeszcze barwę czerwoną i oczy zdawały się niemal wyskakiwać z oprawy, podczas gdy ściskał bardzo gwałtownie rękę swojego gościa. Potem zaprowadził go z poufałą swobodą do przyszłego towarzystwa podróży.

— Szczęśliwy jestem i dumny widząc cię tutaj panie Dombey, rzekł uprzejmie. Nie wielu jest na świecie ludzi którymby Józef Bagstock powiedział coś podobnego. A jednak, powtarzam to—dumny jestem przyjmując cię u siebie.

— Majorze—odpowiedział Dombey—za nadto jesteś grzecznym w tym razie.

— Nie! — o nie! zawołał z żywością Bagstock; grzeczność, to nie moja rzecz łaskawy panie. Niech mię wszyscy djabli wezmą, jeśli nie mówię szczeréj prawdy. Ho! ho! żeby stary Bagstock umiał prawić gładkie słówka i zataić to co ma w myśli, byłby już dzisiaj co najmniéj jenerałem i przyjmowałby pana w trochę innem mieszkaniu. Tak jest — to co mię dziś spotyka uważam sobie za zaszczyt, nie cofam słów moich w tym względzie.

Zdanie to zgadzało się nadto dobrze z przekonaniem jakie miał Dombey o sobie i o stanowisku jakie zajmował, aby na nie w duchu nie przystawał; z tem wszystkiem miał za coś otwartość z jaką je wygłaszał Bagstock i ztąd ocenił tem korzystniéj nowego swego przyjaciela. Doznawał także nie małego zadowolenia, widząc przy téj sposobności, że wrażenie jego potęgi rozciągało się daleko po za zakres otaczającego go kółka, skoro major nie mający nic do czynienia z bankierskiemi sprawami, równie

był przejęty jego wielkością jak szwajcar strzegący wejścia giełdy Londyńskiéj.

Jeśli kiedy, to w chwili obecnéj, przeświadczenie to było pocieszającem dla Dombeya. Czemże bowiem były bogactwa, skoro tak niedawno temu miał sposobność przekonać się, że potęga ich nie wystarczała na zakupienie spełnienia najgorętszych życzeń serca? Nie miałże Pawełek słuszności zapytując, na co się mogły właściwie przydawać pieniądze?

Jedne więc uciechy zadowolonéj dumy mogły rozjaśnić nieco smutną pomrokę, jaką podobne przypomnienia zaciemniały nieraz myśli Dombeya. Tak jest tylko świetność jego stanowiska była prawdą i rzeczywistością, nie lękając się niczego. Świadectwo téj prawdy wygłaszane otwarcie przez takiego człowieka jak Bagstock, sprawiało bankierowi nie małą przyjemność. Czuł w swem osamotnieniu coraz większy ku majorowi pociąg, nie było to bez wątpienia żadne gorętsze uczucie, wszelako w stosunku tym topniał nieco zwykły chłód Dombeya. Major bywał w życiu dosyć często u wód i znał wiele osób z wyższego świata; chętnie też o tym świecie rozprawiał. Dombey cenił w nim umysł zdolny przynieść niemałe korzyści społeczeństwu, a zarazem człowieka zajmującego w temże społeczeństwie stanowisko wcale przyzwoite. Jednem słowem, był to dla niego towarzysz ze wszech miar odpowiedni, znający w obejściu pewną swobodę bardzo stosowną przy boku urzędowéj niemal osobistości, a nawet uwydatniającą tem bardziéj ową osobistość.

— Gdzież się znowu podział ten ladaco? zawołał major rozglądając się z gniewem po pokoju.

Murzyn, nie mający sobie właściwego imienia, ale nawykły brać do siebie wszelką grubijańską nazwę, ukazał się w téj chwili, na progu.

— Jesteś tu łotrze? zawołał groźnie major, — a gdzie śniadanie?

Czarny sługa zbiegł spiesznie ze schodów i wkrótce powrócił niosąc talerze, które skutkiem] trwogi jaką doznawał, kołatały się z brzękiem jedne o drugie w drżących jego rękach.

Nie spuszczając go z oka i grożąc mu pięścią ilekroć w zmięszaniu upuścił łyżkę lub widelec, major zajmował się zarazem bardzo uprzejmie częstowaniem swego gościa.

— Proszę cię panie Dombey, mówił, — oto niezły jakiś pasztet. Może też pozwolisz trochę majonezu. Nie bądź nadto wymagający. Daruj staremu Józefowi że cię przyjmuje tak po obozowemu.

— Ależ to wszystko jest wyborne, odpowiadał Dombey, mówiąc całkiem szczerze, bowiem major zwykł był nie żałować niczego swemu żołądkowi, a nawet nie innemu powodowi przypisywali lekarze zbytnią jego otyłość.

— Czy nie napotkałeś pan po drodze naszéj przyjaciołki? spytał po chwili major swego gościa.

Chcesz pan mówić o pannie Tox nie, nie widziałem jéj wcale.

— Czarująca z niéj kobieta, wszak prawda? zawołał major z wybuchem śmiechu, od którego o mało się nie udławił.

— Znajduję w istocie pannę Tox bardzo przyjemną osobą, odpowiedział Dombey z obojętnością która wielce ucieszyła majora.

Bagstock położył na chwilę sztuciec i napuszywszy się bardzo wspaniale, tarł sobie ręce.

— Stary Józef był kiedyś od téj pani dosyć dobrze widzianym, rzekł ze znaczącym uśmiechem. Ale wszystko przemija na téj ziemi. Dziś już o nim zapomniano — zastąpił go kto inny... Powiedziałbym coś panu, — dodał z wyrazem tajemniczego oburzenia w oczach, — jest to zdaniem mojem, kobieta djabelnie przebiegła i wyrachowana.

— Czyż doprawdy? spytał Dombey z pogardliwem niedowierzaniem.

— Ta kobieta, łaskawy panie, to istny Lucyper w spódnicy, odrzekł major. Spostrzegłem ja to zaraz. Oho! nie łatwa to sprawa oszukać Józefa Bagstocka! Sam książę Jorku nieraz to przyznawał.

Oddając owo świadectwo swéj przenikliwości, major dość już rozgrzany wszystkiem co zjadł był i wypił, tak się nagle rozczerwienił, że Dombey począł spoglądać na niego z pewną obawą.

— Ta stara pocieszna kwoczka, ciągnął daléj Bagstock, ma sobie ona teraz bardzo ciekawe zamiary; rozległe to plany łaskawy panie, ni mniéj ni więcéj jak małżeńskie zamiary.

— Tem ci gorzéj dla niéj; odparł zimno Dombey.

— Nie mów pan tego — zawołał major z wyrazem przestrogi.

— Dla czegóżbym mówić nie miał? spytał wzniośle bankier.

Bagstock nie odpowiedział na razie, tylko mocno się zakaszlał, poczem zaczął znowu zawzięcie zajadać. Po pewnym czasie, rzekł:

— Zdaje mi się, że ta pani bywa często w pańskim domu od pewnego czasu, i okazuje wielką przychylność dla pańskiéj rodziny?

— Tak jest — odpowiedział z powagą Dombey; panna Tox pozyskała wstęp do mojego domu zaraz po śmierci pani Dombey, jako przyjaciołka siostry mojéj. Odtąd widząc w niéj osobę dobrego tonu i oceniając poświęcenie jakiego dawała dowody, przyjmowałem ją życzliwie, a nawet zachęcałem do częstszych i coraz poufalszych stosunków. Przyznaję, dodał z godnością i wymawiając te słowa jak gdyby czuł znakomitą ich wartość, że cenię dosyć pannę Tox. Wyświadczyła ona mojéj rodzinie i mnie niemało drobnych przysług mających wszakże pewną wartość; z mojéj strony otrzymała też w zamian wszelkie względy należyte. Winienem także nie zapomnieć dodał z uprzejmem skinieniem głowy, że pannie Tox zawdzięczam znajomość z panem, tyle mi przyjemną.

— Panie Dombey, rzekł z wielką serdecznością major — nie mogę się zgodzić na to twierdzenie. Znajomość ze starym Józefem, szczytniejsze miała początki. Powodem do niéj była istota wielka i szlachetna — było niem to dziecię które razem opłakujemy.

Dombey spuścił głowę z westchnieniem. Wzruszenie jakie w nim wywołało to przypomnienie, dowiodło majorowi że cel do którego zmierzał został osiągnięty. Przez chwilę milczał, jakby pokonany niemniéj ciężką boleścią, ale nie długo potem otrząsł się znowu z niegodnéj starego wojaka słabości:

— Nie mam bynajmniéj zamiaru, rzekł poprawiając chustkę z właściwą sobie swobodą, chcieć w tym razie odebrać owéj pani należytą jéj część zasługi, ale swoją drogą, dodał zwracając się ku oknu, zkąd widać było po drugiéj stronie placu pannę Tox niewinnie zajętą na ganeczku podlewaniem kwiatów, jesteś pani kwoczką nie pomiernie zarozumiałą, i co cię najmniéj złego może spotkać, to że się śmieszną staniesz.

Dombey rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę mieszkania sąsiadki majora, który tymczasem parsknął głośnym śmiechem. Uspokoiwszy się nieco, rzekł:

— Ale to najmniejsza, żeś śmieszna, bo cóż komu do tego? Co gorsza, to że intrygami twojemi narażasz na sztych nazwisko ludzi zacnych, którzy ani się tego nie domyślają, jak się im wypłacasz za łaski jakie ci wyświadczają. Patrząc na cię stary Bagstock czuje jak mu wre wszystka krew w żyłach.

— Majorze, odezwał się Dombey lekko zaczerwieniony, nie sądzę abyś przypisywał pannie Tox tak szalone zamiary, jak...

— Nie przypisuję, ale odgaduję. Nie darmo Bagstock żył tak długo na świecie; nauczył się mieć oczy i uszy zawsze otwarte. Możesz mu pan uwierzyć kiedy ci mówi, że kobieta która tam stoi jest najprzewrotniejszą na całéj ziemi istotą.

Tą razą, spojrzenie które Dombey rzucił pannie Tox było już także wyraźnie gniewne.

— Nie wyjdzie więcéj ani słowo o tem z ust Bagstocka, rzekł z wyrazem bardzo stanowczym major. Nie jest to plotkarz żaden; wie kiedy potrzeba mówić, a kiedy milczeć. Chciał zniweczyć twoje niegodne knowanie, moja pani, dodał wyciągając groźnie rękę w stronę panny Tox, spokojnie polewającéj kwiaty; — dla tego przemówił otwarcie i tym sposobem spełnił swój obowiązek.

Wzruszenie z jakim major wyrzekł te wyrazy, o mało mu się nie stało niebezpiecznem, tak się przy nich silnie zakrztusił. Przyszedłszy wszeszcie do siebie, rzekł z prostotą pełną godności:

— Teraz tedy kiedy już skończyłem, pomówmy o naszéj bliskiéj podróży. Chcesz pan abym ci towarzyszył do Leamington; wszystko mi to jedno dokąd mam się wybrać, choćby na kraj świata z tobą pojadę, bom ci duszą całą oddany. Co prawda dodał śmiejąc się tak serdecznie, że aż mu trząsł się podbródek, nie bardzo ja rozumiem co tam pan takiego upatrzyłeś w tym starym Józefisku, ani co się drugim może w nim podobać, że go tak sobie ludzie rozrywają.

Dombey wyraził w kilku słowach majorowi swą wdzięczność za pierwszeństwo jakie otrzymał nad tylu zacnemi i znakomitemi osobami, które się ubiegały o jego towarzystwo. Ale Bagstock przerwał mu zaraz ze zwykłą szczerością zapewniając, że w tym razie usłuchał tylko silnego popędu uczucia, które mu nakazało wybrać Dombeya za przyjaciela.

Ponieważ godzina odejścia pociągu już się zbliżyła, a do tego major nie był w stanie zjeść nic więcéj, murzyn zabrał się na rozkaz swego pana do wtłoczenia go w wierzchni surdut, który następnie acz z wielką trudnością — pozapinał na wszystkie guziki. Czerwona twarz majora z wyłupiastemi oczami wyglądała z kołnierza tego ubrania, jak gdyby ją kto był na beczce położył. Skończywszy tę robotę, murzyn podał swemu panu laskę, rękawiczki i kapelusz, ktory tenże włożył nasuwając go zawadyacko na ucho, w sposób całkiem zastosowany do zamaszystego wyrazu jego twarzy. Podczas śniadania, czarny służący już popakował był po wszystkich możliwych kątach powozu stojącego przede drzwiami, niezliczoną ilość toreb i zawiniątek, tak powypychanych i niemal pękających, że zdawały się niemniéj od swego pana zagrożone apopleksją. Napełniwszy sobie potem kieszenie butelkami z wodą salcerską i wyborowym xeresem, chustkami, lunetami, jeograficznemi kartami i dziennikami, słowem wszystkiem czego tylko major mógł w drodze potrzebować, murzyn przyszedł powiedzieć że wszystko już było w gotowości. Gdy wreszcie wsadziwszy panów do powozu, zajął sam miejsce na koźle obok Towlinsona, major rzucił mu jeszcze parę płaszczów i kołder pod któremi biedny *dziki* znikł prawie zupełnie, tak iż niemal żywo pogrzebany odbył podróż do dworca kolei.

W chwili gdy powóz ruszał z miejsca, panna Tox ukazała się w oknie, powiewając białą chustką. Dombey przyjął to pożegnanie w sposób który nawet jak na niego, mógł się zdawać chłodnym i sztywnym, i odpłaciwszy jéj uprzejmość zaledwie dostrzeżonem skinieniem głowy, cofnął się zaraz w głąb powozu, z wyraźnem nieukontentowaniem. Znacząca ta postawa zdała się przypaść bardzo do smaku majoro-

wi, który przeciwnie nie szczędził pannie Tox oznak grzeczności i odjechawszy jeszcze się wychylał z powozu, ciskając swéj sąsiadce zabójcze spojrzenia.

Podczas gdy ustawiano powóz na stosownym przyrządzie, Dombey i major przechadzali się po platformie, pierwszy milczący i chmurny, drugi zaś opowiadając mnóstwo zdarzeń zaczerpniętych z własnéj pamięci lub też wyobraźni, i w których Józef Bagstock odegrywał zwykle główną role. Żaden z tych dwóch panów nie spostrzegł że się im tymczasem przypatrywał uważnie robotnik stojący przy lokomotywie, i że uchylał kapelusza ilekroć przechodzili obok niego. Było to z resztą nawyknieniem u Dombeya wznosić wzrok po nad otaczający go tłum, którego widoku unikał, gardząc nim głęboko. Co zaś do majora, ten był nadto zajęty w owéj chwili układaniem anegdoty którą opowiadał, aby cośkolwiek innego mogło zwrócić jego uwagę. Robotnik zbliżył się wreszcie ku dwom podróżnym i zdejmując kapelusz, skłonił się Dombeyowi z uszanowaniem.

— Przepraszam pana, rzekł, ale chciałbym się dowiedzieć jak mu zdrowie teraz służy?

Człowiek ten ubrany był w płócienny kitel potężnie zasmolony smarowidłem i węglem, ale twarz jego zakopcona miała wyraz otwarty i poczciwy, dobrze już nam znany. Był to bowiem Toodle we własnéj osobie, noszący ubranie swego rzemiosła.

— Mam zaszczyt opalać lokomotywę, która będzie panów wiozła, rzekł uprzejmie. Przepraszam, ale radbym wiedzieć jak zdrowie pańskie? dodał zwracając się do Dombeya.

W zamian za ów objaw życzliwości, bankier rzucił mu spojrzenie, którem zdawał się chcieć w ziemię wtłoczyć biedaka.

— Niech mi pan przebaczy moją śmiałość, rzekł znowu Toodle widząc że go Dombey nie poznawał, ale żona moja Polly, którą w domu pańskim nazywano Richards....

Na tem słowie zamilkł, zmięszany nagłą zmianą twarzy Dombeya. Wyrażała ona jasno, że we wspomnieniach zbudzonych w nim w téj chwili, przemagał gniew i upokorzenie.

— Żona twoja pewnie potrzebuje pieniędzy, rzekł sięgając do kieszeni z wyrazem pogardy.

— O nie, dziękuję panu, odpowiedział Toodle, teraz nam lepiéj idzie, z łaski Boga.

Tą razą, przyszła koléj na Dombeya uczuć się zmięszanym. Nie bardzo wiedział naprawdę, co ma robić z ręką którą włożył był w kieszeń.

— Dziękuję pokornie panu za jego łaskę, powtórzył Toodle obracając w rękach ceratowy swój kapelusz, ale jak na teraz, nie mamy powodu się żalić. Przybyło nam wprawdzie robaczków do naszéj gromadki, ale jakoś dzięki Bogu, można i na nie zarobić.

Dombey byłby dał za to niemało żeby się módz co prędzéj dostać do swego powozu, i z pewnością gdyby na to potrzeba było zrzucić z drogi palacza pod koła jakiego wagonu, z chęcią byłby to zrobił, ale w téj chwili pewien szczegół ubrania Toodla zwrócił jego uwagę.

— Wprawdzie straciliśmy także jedno dziecko, mówił daléj ten ostatni.

— Jak dawno temu? spytał Dombey, nie przestając się wpatrywać w jego kapelusz.

— Już przeszło trzy lata, ale z resztą wszystko idzie nam jak z płatka. A nawet dodał kłaniając się Dombeyowi jakby mu chciał przypomnieć dawną z nim rozmowę, nauczyłem się czytać od moich chłopaków i wcale już nieźle mi to idzie.

— Chodźmy, majorze, rzekł sucho Dombey.

— Jeśli łaska jaśnie pana, odezwał się Toodle zastępując mu drogę z wielkiem uszanowaniem, to chciałbym jeszcze powiedzieć o moim synu, tym co to go pan kazał przyjąć do Przytułku Szlifierzy.

— Cóż tedy? spytał bardzo surowo Dombey—co mi masz do powiedzenia o nim?

— Że się jakoś źle pokierował, odrzekł smutno palacz.

— A! źle? powtórzył bankier z bezlitosnem zadowoleniem.

— Wdał się pomiędzy złych ludzi i popsuli mi go, rzekł Toodle. Daj Boże żeby się poprawił, ale jak na teraz to niemało mamy z nim zgryzoty oboje. Chciałem to panu opowiedzieć, bo wszakże łaski jaśnie pana doświadczył kiedyś ten ladaco.

— Kazałem dać wychowanie synowi tego człowieka, rzekł Dombey do majora, i odebrałem zwykłą w podobnych razach zapłatę.

— Usłuchaj pan szczeréj rady starego Józefa i nie obdarzaj nigdy oświatą ludzi tego rodzaju; zawsze im to na złe wychodzi.

Biedny ojciec chciał tłomaczyć, że może początkiem złego było w tym razie obejście, jakiego syn doznawał w zakładzie pod niemiłosierną władzą nauczyciela, który sam nic nie umiejąc, mścił się nad dziećmi za swą własną nieudolność, — ale Dombey nie słuchając go więcéj odszedł spiesznie z majorem, powtarzając tylko gniewnie: zwykła to zapłata i nie oglądając się więcéj, siadł do powozu już ustawionego do drogi. Gdy przyszła koléj na Bagstocka toż samo dopełnić, nie małéj doznał trudności; ile razy probował wdrapać się na stopień, zawsze opadał zdyszany na podsadzającego go murzyna, którego przeklinał wtedy na wszystkie sposoby,przypisując mu winę tego niepowodzenia. Wreszcie, po niesłychanych wysileniach, dostał się do wnętrza powozu gdzie zasiadłszy wysapywał się długo, powtarzając jeszcze, że dałby się raczéj powiesić niżby miał się kiedyś przyczynić do udzielenia oświaty jakiemu oberwańcowi.

Dombey przytakiwał z goryczą owemu zdaniu; wszelako gorycz ta i smutek z jakim zasunął się był z twarzą nachmurzoną w głąb powozu, inny wcale miały powód niż zawód jaki mu sprawił wychowaniec zakładu miłosiernych Szlifierzy. W oczach miał ciągle ową czarną krepową opaskę, którą dostrzegł był na kapeluszu palacza i dręczyła go dotkliwie pewność jaką pozyskał, że po jego synu Toodle poważył się nosić żałobę.

Wszędzie więc tedy, począwszy od własnego domu aż do całkiem obcego miejsca, Dombey musiał napotykać kogoś co śmiał zajmować się tym synem i opłakiwać go, prześcigając ojca w przywiązaniu? Tam zostawił Florcię, tu napotykał owego nędznego palacza! Mógłże zapomnieć, że widział ową kobietę płaczącą przy łóżku jego syna i nazywającą go swem dzieckiem? Mógłże zapomnieć jak ów syn, zwyciężając sercem obezwładnienie konania, podniósł się rozpromieniony na posłaniu, kiedy *ona* weszła?

Jak tu pomyśleć bez zgrozy o tym zuchwałym nędzarzu, z ową żałobną opaską, świadczącą że się poważył brać udział w najskrytszych uczuciach wspaniałego bogacza? Jak tu znieść, że owo dziecię które złota zapora miała odgradzać od reszty ludzkości, zostało przez śmierć zbliżonem z podobnemi nędznikami, odważającemi się dziś wspominać ojcu o zawiedzionych jego nadziejach i brać udział w jego boleści?

Pogrążony w tych przykrych myślach które uporczywie go ścigały, tworząc w około niego pustynie samemi gruzami i kolącym cierniem zasłaną, Dombey nie doznał w ciągu podróży ani chwili rozrywki lub wytchnienia. Uśmiechnięte krajobrazy przebiegały niepostrzeżone przed jego okiem, a szybkość pociągu przypominała mu tylko pośpiech, z jakim owo młode życie dobiegało było do kresu zawczasu oznaczonego. Siła pchająca pociąg po żelaznym torze, ta siła dążąca nap.zód, nie znająca przeszkód, obalająca wszystko po drodze i unosząca z sobą tyle istot różnego wieku i stanu — nie byłaż obrazem pochodu owego zwycięzkiego potworu któremu śmierć na imię? A tymczasem pociąg pędził daléj i daléj, jęcząc i świszcząc rozgłośnie, raz miasta wymijając, raz znowu przebijając domy i hucząc po ulicach; na chwilę znowu zagłębiając się w wilgotną ziemię i grzmiąc straszliwie wśród ciemności, potem znowu na światło dzienne i na świat szeroki wylatywał; — pędził i pędził rycząc i sycząc przez łany zboża i przez lasy zaciemnione, przez bagna i przez wydmy piaszczyste, coraz pokazując oku przedmioty które zda się ręka mogła pochwycić, a które przepadły w jednéj chwili — tak jak to czyni w swym szalonym biegu bezlitośne śmierci widmo!

Pociąg pędzi ciągle. Co mu znaczą wiatru podmuchy i skwar słoneczny? On pędzi coraz daléj, dumny swą siłą, spokojny i pewny siebie; w obec niego gmachy wspaniałe i potężne mosty błysk tylko trwają i jak cień pierzchają. Kościoły i chatki, pałace i nędzne lepianki — wszystko istnieje tylko chwilę dla potężnego widma któremu Śmierć na imię!

Coraz bardziéj grzmiący i zwycięzki, pociąg dobiega już do kresu swéj podróży; teraz droga jego, na podobieństwo śmierci szlaku, samemi popioły usłana. Wszystko w około zda się niemi przyprószone i zaciemnione; wszystko smutne i ponure, zastałéj wody kałuże tuż obok chatek przygarbionych, na wpół rozwalone domy w oknach których migają twarze wychudłe od gorączki i głodu; wreszcie szkielety budynków zniszczałych, sterczące kominy wśród gruzów i rozwalin wszelkiego rodzaju, zamykają ów posępny widnokrąg.

— Zakończenie godne zaiste podróży, powiada sobie Dombey, który owładnięty jedną tylko myślą, wszędzie dzieło zniszczenia w około siebie upatruje.

W oczach jego wszystko było strasznem, zimnem grobowem, wszystko mu odtwarzało obraz jego nieszczęścia.

Wśród tych ponurych widzeń jego duszy, przesuwało się wszelako nieustannie jedno, całkiem od nich odmienne. Owa twarz Florci, którą Dombey widział zeszłéj nocy zalaną łzami, patrzała znowu na niego z tymże samym wyrazem prośby i rozpacznéj niepewności. Byłoż wyrzutem sumienia to przypomnienie ku któremu Dombey powracał nieustannie z dziwnym niepokojem? Bynajmniéj, tylko uczucie które twarz owa zawsze w nim budziła, stało się teraz dla niego wyraźnem i siłą swoją przerażać go poczynało. Z pośród gruzów i rumowisk, twarz ta nieustannie mu się ukazywała i widok jéj nieznośnie zajątrzał nieuleczoną ranę jaką w sercu nosił. Rozpatrując się wgłębiach własnéj duszy, Dombey czuł dobrz iż równą miał w tym razie do życia jak do śmierci urazę.

Czemuż utraciwszy wszystko z czem się wiązały jego nadzieje, jedną tylko córkę zachował? Obraz téj pięknéj i słodkiéj istoty, coraz wstrętniejszych dla niego b nabierał. Od dzieciństwa, córka owa była mu przykrością, teraz stawała się przymnożeniem cierpienia. Gdyby syn był jego jedynem dziecięciem i gdyby mu przyszło go utracić, cios ten, choć zawsze bolesny, łatwiejszym byłby do zniesienia, już przez tę myśl samą że śmierć nie miała w tym razie nikogo innego do zabrania.

(d. c. n).

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA
OD
FORMACYI WĘGLOWÉJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

III.

(Dalszy ciąg).

Wiemy już skąd powstał węgiel kamienny; teraz zanim zrobimy wycieczkę do jakiejś kopalni, poznajmy jego dzieje.

Tak powszechne i na wielką skalę użytkowanie z węgla kamiennego, rozpoczęło się dopiero przed stu laty. Chińczycy znali niezaprzeczenie węgiel kamienny, ale używali go jedynie do wypalania porcelany. Rzymianie spoglądali z pogardą na ten bezecny czarny kamień i ani się domyślali wielkiéj jego wartości. Grecy nie więcéj go cenili, jednak kowale ich używali go niekiedy w braku innego paliwa. Nakoniec w wiekach średnich, tak w Londynie jak w Paryżu, nie wolno było używać go pod karą strofu lub nawet więzienia.

W XVIII wieku, węgiel rozpoczyna zwycięzką walkę ze stawianemi sobie przeszkodami i zaczyna wchodzić w użycie w niektórych fabrykach wymagających wiele ognia i wysokiéj temperatury. Wtedy to Savery, Newcomen i Watt, wynajdują i udoskonalają maszynę parową. Maszyna ta z początku była nieruchomą, późniéj nadano jéj ruch i wynaleziono lokomotywę. Od téj chwili węgiel staje się niezbędnym i w miarę dokonywanego postępu, zwiększa się jego zapotrzebowanie. Nareszcie zrobiono odkrycie, że z tego czarnego kamienia można otrzymać gaz oświetlający; powstają tedy fabryki mające go wyrabiać, i naturalnie zużytkowują ogromną ilość węgla.

Prawdziwe królowanie węgla w przemyśle i fabrykach zaczyna się z chwilą, w któréj para rozwielmożniona wszędzie głównym ich stała się motorem; odtąd zaczęto gorliwie krzątać się około urządzania i udoskonalenia kopalni, a wydobywanie z nich węgla stanowi dziś jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu.

Zejdźmy teraz do kopalni i przypatrzmy się ciężkiéj, najeżonéj groźnemi niebezpieczeństwami pracy górników.

Dwa są sposoby zejścia, spuścić się windą lub zejść po drabinie. Ponieważ niektóre studnie górnicze miewają do 500 metrów głębokości, zatem drabina nie ciągnie się nieprzerwanie od góry aż do dołu, lecz w pewnych miejscach pourządzane są przestanki. Drabiny te, tak wązkie że jeden tylko człowiek schodzić lub wchodzić po nich może, są ślizgie, wilgotne i zabłocone. Czy to schodząc czy wychodząc po nich górnicy mają na głowie skórzane kapelusze do których przytwierdzają lampki, gdyż w olbrzymich tych kominach zupełna panuje ciemność. Trzeba obu rękami trzymać się drabiny, gdyż najlżejsze pośliźnięcie grozi śmiercią. I spuszczanie się windą jest także niebezpieczne, ale mniéj wymaga czasu; w kwandrans można dostać się do kopalni mającéj 500 metrów głębości, kiedy schodząc po drabinie trzech kwandransy na to potrzeba.

Ktokolwiek pierwszy raz spuszcza się do kopalni, niewysłowionego doznaje wrażenia. W jednéj chwili czarna noc zastępuje światło, dość pochylić się nad otworem i spojrzeć w bezdenną otchłań, aby cofnąć się z przerażeniem; trzeba pewnéj odwagi i siły woli aby wbrew instynktowéj odrazy, stanąć na stopniu drabiny, lub zająć miejsce w windzie.

Dano znak, maszyna gwizdnęła, winda zaczyna się opuszczać. Osoby lękliwe doznają wtedy uczucia dziwnego przerażenia, chciałyby wyjść, powstrzymać windę — zapóźno! więc całą siłą chwytają się sznurów, i nieraz prawie obezprzytomnione strachem dostają się na dół. Odważniejsi, umiejący zapanować nad smutnem, ogarniającem ich wrażeniem, ciekawy mają przed oczami widok. Posępne, niepewne światło lampek górniczych ukazuje same gołe, wilgotne ściany, a w nich tu i owdzie czarne otwory,— to wejścia do galerji. Ciężar jakiś przygniata piersi, dostawszy się na dno można odetchnąć spokojniéj, ale tu znów gorąco jest nieznośne. Według obliczeń temperatura podnosi się o *jeden stopień* za każdem zapuszczeniem się o *trzydzieści trzy metry* w głąb ziemi.

W miejscu gdzie winda opuszcza się na dno kopalni spostrzegamy liczne, w różnych kierunkach rozchodzące się drogi, któremi przewożą węgiel na małych wagonach posuwających się na relsach. Tuż obok widzimy licznych robotników, oświetlonych fantastycznie swojemi *lampkami bezpieczeństwa*, pracujących nad wydobywaniem węgla. Czasami ręczna praca nie może podołać temu zadaniu, wtedy trzeba uciekać się do rozsadzania prochem.

Przejdźmy do galerji. Tą nieustannie przesuwają się wagony ciągnione końmi i popychane przez ludzi. W rozleglejszych kopalniach urządzają lokomotywy. W miarę zapuszczania się widzimy, że podziemne te miasta mają także swoje wielkie i małe ulice, bulwary, drogi przejścia i tajemnicze zakątki. W galerjach woda płynie nieustannie, a nawet w niektórych potworzyły się wielkie ścieki, zalegające próżnię między dnem a sztuczną podłogą.

Na jakże to straszne niebezpieczeństwa narażeni są górnicy pracujący w kopalniach! Przypomnijmy sobie tylko jak przerażające opisy okropnych katastrof podają nam nieraz gazety.

Dzielni ci i niezmordowani pracownicy, większą część życia swego spędzają pod ziemią, w bezmiernych otchłaniach, zaledwie oświetlonych bladawem światełkiem lampki, i wydzierają ziemi bogactwa kryjące się w jéj łonie. Podziemia te, sztucznie przewietrzane, w niektórych miejscach tak ciasne że tylko skurczeni utrzymać się w nich mogą; duszne gorąco zaledwie oddychać dozwala; spoceni, prawie nadzy, pokryci jakąś czarniawo świecącą powłoką, nieraz długie, długie lata przeżywają w nich samotni.

A nie dość na tem, co chwila zagraża im zapadnięcie, gwałtowne zalanie wodą, lub wybuch węglowodoru i wiedzą o tem, a jednak spokojni, nieznużeni, pracują wytrwale i przywiązują się do tych otchłani, których pokłady zapewniają im nędzny kawałek chleba, a niektórzy nawet przekładają je z czasem nad jasność słoneczną, roztaczającą się po nad kopalniami.

Ale wróćmy do niebezpieczeństw zagrażających górnikom. Najstraszniejszym jest ogień powstający z zapalenia się gazu. W kopalniach, wśród wilgotnych pokładów węgla kamiennego, odbywa się powolny rozkład: gaz wodoru łączy się w różnych stosunkach z węglem i tworzy różne związki. Jeden z nich zwany przez chemików, *węglowodor lekki*, daje powód do strasznych wybuchów mających miejsce w kopalniach. Wytłomaczymy to w krótkości.

Gaz ten (węglowodor lekki) lżejszy od powietrza, wznosi się ku górnym strefom galerji, i mięszając się z powietrzem, za najlżejszem zetknięciem z płomieniem świecy czy lampy, zapala się z ogromnym wybuchem. Jeśli więc wypadkiem górnik wejdzie ze świecą lub zwyczajną lampą do galerji, w któréj wywiązała się znaczna ilość węglowodoru, natychmiast następuje gwałtowny wybuch i często kopalnie zapadają się z przerażającym hukiem. A iluż to górników pada ofiarą każdéj takiéj katastrofy!

Od roku 1812 do 1814 w kopalniach angielskich tak częste wydarzały się wybuchy, iż przerażeni inżynierowie udali się do sir Humphry-Davy prosząc aby obmyślił środek zaradczy. Po wielu próbach zauważył on nareszcie: że trzymając na płask w płomieniu świecy siatkę drucianą, płomień jéj nie przekracza, a gazy niespalone przechodzą przez nią wraz z produktami spalenia. To proste doświadczenie rozwiązało zadanie. Davy wynalazł *lampkę bezpieczeństwa*.

Jest to zwyczajna lampa olejna otoczona zewnątrz siatką drucianą; jeśli lampę taką umieścimy w mięszaninie wybuchającéj, mięszanina ta wchodzi do lampy otworami siatki i zapala się, lecz płomień w zetknięciu z siatką metalową tak mocno się oziębia, iż gaśnie i nie może rozszerzyć się na zewnątrz. Kończy się na huku.

Lampa Davy'ego chroni więc od wybuchu, ale przedstawia tę wielką niedogodność iż nadzwyczaj małe daje światło, tak iż górnicy z trudnością rozeznają otaczające przedmiota. Zaradził temu w części sławny inżynier francuzki p. Combes, zastępując część siatki drucianéj dochodzącéj wysokości płomienia, bardzo grubem szkłem.

Od czasu wynalezienia tych lampek, wybuchy w kopalniach nader już rzadkie, i chyba tylko przez nieostrożność lub niedorzeczność górników się wydarzają. Ale i temu potrafiono zaradzić. Przed spuszczeniem się górników do kopalni, zamykają na klucz metalowy przyrząd ich lampek. W razie jeśli nastąpi eksplozja w lampie, lampka gaśnie i robotnik tę tylko ma przykrość iż musi orientować się w ciemności.

W ostatnich czasach proponowano łatwy bardzo sposób spalenia węglowodoru bez niebezpieczeństwa. W tym celu zalecano utrzymywać w kopalniach słabe iskry elektryczne, które palą gaz w miarę jego wywiązywania się. Podobne palenie jest tak słabe, iż żadnem nie grozi niebezpieczeństwem.

Obok wybuchów zagrażają jeszcze górnikowi zawalenie się kopalń i zalanie wodą.

Zawalenia są wynikiem ciśnienia gruntu na ściany kopalni, jeśli futrowanie nie jest dość silne, nie wytrzyma silnego parcia — a wtedy biada górnikom pracującym w galerjach! Zgnieceni opadającem drzewem i bryłami węgla, często zabici na miejscu lub co najmniéj pokaleczeni okropnie, oczekują z niewypowiedzianą trwogą zbawiennéj pomocy. A jakże często przybywa ona zapóźno!.. Podobne zawalenia często się bardzo zdarzają, i zazwyczaj nic przewidzieć ich nie dozwala.

Woda zalewająca kopalnie, także strasznych szkód i nieszczęść bywa przyczyną. Niekiedy powoduje je woda zawarta w dawno opuszczonych wydrążeniach, najczęściéj jednak zwolna wydobywając się z gruntu, powoli ogromne wytwarza massy. Albo znowu skutkiem długich ulewnych deszczów woda dostaje się do studzień górniczych, zalewa galerje, porywa i unosi co tylko spotka na drodze, ludzi, konie, drzewo, wagony, pustosząc i niszcząc całe kopalnie. Czasami, mimo najusilniejszych starań, niepodobna wykazać powodu zalania, jak tego niedawno mieliśmy przykład w bogatych kopalniach Wieliczki.

Straszny, przerażający widok przedstawia się oczom zbawców, przybywających do zalanych kopalni, w chęci ratowania nieszczęśliwych ofiar. Tu gdzie przed chwilą panowała tak wielka działalność i życie, grobowe zaległo milczenie, a posępny blask pochodni oświetlając czarne nurty, ukazuje tu i owdzie zzieleniałe twarze topielców, szczątki desek i poszarpane trupy... Rzućmy zasłonę na ten okropny obraz.

(d. c. n.)